Nr. 96. Lwów — Piątek dnia 26 Kwietnia. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego. Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 K. 20 h. w Niemczech [illegible] w innych Państwach [illegible] Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible] Numer pojedynczy we Lwowie [illegible] 8 h. na prowincyi [illegible] 12 h. Numera z poprzedniej daty po 20 hal. [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Kleta i Marc. Artemona M. | Jutro: św. Peregryna W. Marcina Pap. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca o godz. 4 min. 21, Zachód „ „ 6 „ 23 | Długość dnia godzin 14 min. 2, Przybyło dnia od wczoraj 5 min.

Czas odnowić przedpłatę!
Wynosi ona na prowincyi:
miesięcznie 2 K. 20 hal.
półrocznie 13 „ 20 „
rocznie 26 „ 40 „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 hal.

Pogłoski o „rozpędzeniu" dumy.

W Rosyi i w całej Europie coraz częściej i z coraz większą stanowczością głoszą, że w przyszłą środę, która będzie wielką według starego kalendarza, pojawi się carski reskrypt, oznajmujący dumie, że jest rozwiązana, a potem już ona nie będzie zwołana. Co przemawia za prawdziwością tej pogłoski? Najpierw list Martensa, ogłoszony w londyńskim Timesie, następnie zaś dwie sprawy, które duma zamierza rozstrzygnąć inaczej, niż chce ministeryum.

Zastanówmy się przedewszystkiem nad listem Martensa. Ten radca stanu, prawny doradca ministra spraw zagranicznych, pełnomocnik rządu rosyjskiego do układów z europejskimi gabinetami o program konferencyi pokojowej w Hadze, wystąpił publicznie, w trakcie owych układów, z listem otwartym do swych „licznych w Europie przyjaciół i korespondentów", którym tłomaczy, że duma jest nieinteligentna, niepatryotyczna, składa się z ludzi albo takich, którzy nawet czytać nie umieją, albo też z doktrynerów, ślepych na interesa całej Rosyi, a widzących tylko własne partyjne interesa. Nic ona nie robi, jeno bez końca płytko gada o różnych socyalnych teoryach. Z trybuny parlamentarnej zrobiła katedrę wykładów rewolucyjnych i socyalistycznych. Z rządem nie chce pracować ręka w rękę, jeno od czasu do czasu prawi mu impertynencye. Jest więc utworem nieudałym, a zatem nie powinna istnieć. Dobro państwa, interes narodu rosyjskiego wymaga, aby dzieło reform w duchu konstytucyjnym nie było hamowane przez taką paplankę dumę. Gorsza ona od przeszłorocznej pod niejednym względem, bo tamta czegoś chciała, a ta zgoła nie wiadomo, czego chce. Ale i trzecia duma, jeżeli będzie wybrana tak samo, z pewnością okaże się niedorzeczniejszą od swych poprzedniczek. Aby tego nie było, trzeba zmienić statut wyborczy. „Wiem — powiada p. Martens — że może to być zrobione tylko z pogwałceniem naszych ustaw zasadniczych, które w § 87-ym głoszą, że statut wyborczy może być zmieniony tylko przez dumę. Lecz wyboru nie ma: albo rząd nie zdecyduje się na to i w takim razie trzecia duma będzie jeszcze gorsza, albo też naprawi swój błąd i otrzyma zdolną do pracy instytucyę prawodawczą. Jestem przekonany, że wszyscy zwolennicy prawidłowego rozwoju Rosyi nie będą się namyślali nad wyborem jednego z tych dwóch sposobów".

Times, ogłosiwszy ten list, dodał od siebie taką uwagę: „Wszystko to może być prawdą, jednakże bardzo dziwne, że wybitny prawnik, delegowany do tworzenia nienaruszalnych międzynarodowych traktatów, z tak lekkiem sercem propaguje pogwałcenie układu, który car zawarł ze swym narodem. Jeżeli rząd rosyjski traktuje tak lekko wszystkie umowy, to zaiste trudno mu ufać. Cóż zresztą duma czyni takiego, że potrzeba aż zamachu na ustawy zasadnicze? Jest ona nieinteligentna i partyjna, zamiast być patryotyczną, słowem „nieszczęsna", jak się p. Martens wyraził. Czy w jej partyjności naprawdę nie ma patryotyzmu, o to można się spierać. Rząd także jest partyjnym, chociaż uważa się za patryotyczny. Jest ona nieinteligenna? A czyż rząd złożył wielki dowód inteligencyi, gdy układał taki statut? I gdzie rękojmia, że ułoży lepszy? Wreszcie duma jest nieszczęsna. Ale nieszczęsnemi są zawsze i wszędzie instytucye prawodawcze w czasach chaotycznych. W takich razach nie trzeba chaosu powiększać ciągłem bełtaniem wody: w spokoju męty opadną na dno — i żywioł się wyklaruje. Przyjaciele Rosyi mogą doradzać jej rządowi jak najwięcej mądrości, której nie ma bez cierpliwości".

Do tej uwagi *Times*'u można dodać chyba to, że statut wyborczy Bułygina kazał przypuszczać, iż wybrane będą do dumy wprawdzie nie najlepsze, ale i nie najgorsze żywioły. Lecz czynownictwo właśnie chciało jeżeli nie najgorszych, to najgłupszych, aby cały świat przekonać, że Rosya nie dorosła do parlamentaryzmu i że zatem stosowny dla niej tylko biurokratyzm. Bułygin więc otrzymał dymisyę, a Durnawo z Hurką przerobili statut wyborczy tak, aby chłopi mieli przewagę. Zdawało się im, że w chłopach będą mieli powolne narzędzie. W tem się omylili, jakby na dowód, że biurokracya nigdy nie wie, jaki jest stan społeczeństwa. Chłopi wybrali rewolucyonistów. Rozwiązano więc dumę, a Stołypin z senatem wydali tyle komentarzy do statutu wyborczego, że to była zupełna jego zmiana. Tym razem rząd postanowił oprzeć się nie na chłopach, lecz na popach: oni wszędzie stanowili większość wyborców. I znowu się okazało, że biurokracya nie zna stanu społeczeństwa. Jej się zdawało, że popi wybiorą rządowców. Ale cały niższy kler prawosławny składa się z Haponów, wybrał więc mnóstwo socyalistów — mnóstwo doktrynerów demokratycznych, wyznających teorye kadetów, ale mniej od nich wykształconych — i trochę czarnosocieńców. Znowu tedy duma okazała się do niczego. Jeżeli przypuścimy, że biurokracya dwa razy spudłowała, czy można mniemać, że za trzecim razem dobrze trafi? Ale naszem zdaniem, ona wcale nie pudłowała, ona chciała, aby pierwsza i druga duma były albo całkiem jej powolne, a więc dla narodu do niczego, albo rewolucyjne i głupie, a wtedy dla rządu do niczego — i żeby zawsze dowodziły, iż ze wszystkiego najlepszy — biurokratyzm. Skoro niewątpliwie taka jest intencya czynownictwa, to jużci nie zmieni ona wyborczego statutu tak, aby duma była rozumna, rozważna, praktyczna. Dlatego zalecać rozwiązanie drugiej dumy a przerobienie statutu wyborczego z pogwałceniem ustaw zasadniczych nie jest mądrością stanu, ale intrygą czynowniczą. Uwierzylibyśmy w szczerość rządu, gdyby on teraz przedstawił dumie nowy statut wyborczy, dający przewagę inteligentnemu ziemiaństwu i mieszczaństwu i przeprowadził ten statut w Radzie państwowej (w izbie wyższej), a z zatargu, który na tym punkcie powstałby między dumą a ową radą, wysnułby konieczność rozwiązania dumy i narzucenia nowego statutu. To byłaby droga konstytucyjna, a wszelka inna akcya zawsze będzie tylko igraniem kota z myszą, — biurokracyi z dumą.

Właściwie dla czynownictwa jest ona dobra, bo do niczego niezdolna. A jednak rzeczywiście może będzie zamknięta na wielkanocne święta z tem postanowieniem, że już się nie zbierze. Stać się to może z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że chce uchwalić powszechną amnestyę. W ten sposób wdarłaby się w prawa monarchy. Tylko w republikach prawo łaski należy do parlamentów, natomiast w krajach monarchicznych, nawet bardzo konstytucyjnych, jak np. Belgia, jest prawem korony. Duma, jako gwałcicielka praw cara, popełni samobójstwo. Drugi powód rozwiązania — to projekt autonomii Królestwa Polskiego. Rząd nie chce dać autonomii; oświadczył to bardzo stanowczo; lecz trudnem się stanie jego położenie w tej sprawie, jeżeli duma przyjmie projekt Koła polskiego; uprzedzając więc ten wypadek, może zamknie dumę. Zapewne dlatego organ p. Dmowskiego, *Gazeta Polska* ogłasza co następuje: „Ogół nasz niewątpliwie żywo zajmuje się sprawą autonomii, ale traktuje ją dosyć powierzchownie, żeby nie powiedzieć lekkomyślnie... Nikt nam autonomii nie ofiarowuje... Ani rząd, ani społeczeństwo rosyjskie dać nam jej nie chcą... Musimy autonomię zdobywać, musimy o nią walczyć. Walka będzie zacięta i długa, a powinna być prowadzona z wielką energią i stanowczością, ale zarazem z wielką rozwagą. Rezultat jej w znacznej mierze zależy od pomyślnego dla nas zbiegu okoliczności i umiejętnego ich wyzyskania, nietyle od układu stosunków parlamentarnych, ile od ogólnego układu stosunków politycznych w państwie. Wobec tego postawienie wniosku autonomicznego w dumie może być tylko jednym z epizodów tej walki, jednym manewrem taktycznym... Rzecz jasna, że Koło polskie może i nawet będzie musiało, gdyby nawet zaczęta dziś akcya nie miała powodzenia, postawić wniosek autonomiczny bez względu na to, jaki los spotka go w dumie. Dopóki bowiem ta sprawa nie wejdzie na porządek dzienny, reprezentacya nasza jest w swej działalności skrępowana, nie może stawiać samodzielnych wniosków i projektów, ani nawet w wielu wypadkach brać udziału w rozprawach. Ale w obecnej chwili położenie polityczne nie wymaga takiego stanowczego postanowienia".

Nie wszystko jasno się nam przedstawia w tem oświadczeniu *Gazety Polskiej*. Nie rozumiemy, dlaczego nasi posłowie nie mogą stawiać samodzielnych wniosków i projektów, a nieraz nawet brać udziału w rozprawach, dopóki sprawa autonomii nie wejdzie na porządek dzienny. Skoro w oświadczeniu powiedziano, że „walka o autonomię potrwa długo", to równie długo potrwa owo skrępowanie się Koła polskiego. Lecz pomijamy tę zagadkę, bo w danej chwili głównie chodzi nam o wykazanie, że organ p. Dmowskiego zapowiada „długą" walkę o autonomię, której „nie ofiarowuje nam ani rząd, ani społeczeństwo rosyjskie" i którą musimy zdobywać „z wielką rozwagą", gdyż osiągnięcie pomyślnego rezultatu „zależy od zbiegu okoliczności i nietyle od stosunków parlamentarnych, ile od ogólnego układu stosunków w państwie". Niewątpliwie znaczy to, iż trzeba i na to się przygotować, że duma pogrzebie w komisyi polski wniosek o autonomii. A istotnie może ona to zrobić, aby nie dać rządowi powodu do jej rozwiązania. *Gazeta Polska* wspomina, że już „zachodzą wątpliwości co do zakresu kompetencyi dumy w tej sprawie". Pierwszy to objaw cofania się naszych platonicznych sprzymierzeńców.

Tak tedy dla uratowania dumy od „rozpędzenia", większość złożona z kadetów i trudowików zepchnie do komisyi projekt autonomii i niezawodnie to samo zrobi z wnioskiem o uchwalenie amnestyi. Powodu do rozpędzenia nie będzie.

Skoro tylko rozpowszechniła się pogłoska o możliwości rozpędzenia dumy, natychmiast przez analogię zdarzeń poczęto mówić o dymisyi Stołypina. Pierwszą dumę trzeba było rozpędzić i jednocześnie Gorymykin musiał ustąpić, a zatem, jeżeli odejdzie druga duma, to odejdzie Stołypin. Lecz już zaprzeczono tej pogłosce, w czem jest pośrednie zaprzeczenie pogłoski o rozpędzeniu dumy. W dodatku car przyjął na audyencyi Gołowina. Wolno tedy mniemać, że rozpędzenie nie grozi dumie.

Korespondencye.

Wiedeń 23 kwietnia.

(Pożegnanie śpiewaków wiedeńskich na odjezdnem do Ameryki. Sensacyjna ucieczka paralityka.)

(y). Śpiewacy wiedeńscy są już na Oceanie, i za tydzień spodziewać się można pierwszych wiadomości o tryumfach artystycznych, odniesionych przez nich w Nowym Świecie. Na dworcu kolei Zachodniej żegnano ich onegdaj tak serdecznie, że wzruszyć to musiało każdego do głębi. Pomimo wczesnej godziny—(pociąg, wiozący śpiewaków, wyruszył stąd o godzinie 8 rano), kilkadziesiąt tysięcy osób zebrało się przed dworcem kolei Zachodniej i w przyległych ulicach, aby zobaczyć odjeżdżającą drużynę i pożegnać ją okrzykiem na daleką drogę. Członkowie „Männergesangvereinu" ubrani byli w angielskie kostyumy podróżne i mieli przypięte odznaki: czerwono-białe kokardy z herbem Vindobony. Na peronie pożegnał ich wiceburmistrz dr. Porzer imieniem miasta Wiednia ciepłą przemową, w której rzekł, że przekonany jest o tem, iż przyniosą oni zaszczyt Wiedniowi i utrwalą po tamtej stronie Oceanu jego sławę jako najbardziej muzykalnego miasta. „A gdy okryci sławą — rzekł dr. Porzer — powrócicie i znów ujrzycie wieżę św. Szczepana, wtedy i wam i nam serce silniej zabije, bo taki nierozerwalny węzeł zadzierzgnął się między nami, iż niepodobna dziś wyobrazić sobie Wiednia bez jego „Männergesangvereinu". Wśród ogłuszających okrzyków publiczności wyjechał pociąg z dworca i przybył nazajutrz w południe do Genui, gdzie oczekiwał nań jeden z najpiękniejszych parowców północno-niemieckiego „Lloyda", mający nazwę „Oceana". Prezydent Roosevelt telegraficznie zawiadomił zarząd „Männergesangvereinu", iż polecił władzom pocztowym w Nowym Jorku uwolnić członków tej wycieczki od wszelkiej rewizyi celnej, a także włoskie władze celne w stacyi granicznej Pontebba nie rewidowały im pakunków. Osobną korespondencyę przeprowadzono między austryackiem a włoskiem ministerstwem spraw zagranicznych co do tego, ażeby śpiewacy wiedeńscy nie potrzebowali przesiadać się do wagonów włoskich, lecz by w tych samych wagonach austryackich, do których wsiedli w Wiedniu, mogli dostać się do Genui. Rząd włoski zgodził się na to, ale pod warunkiem, że stopnie, po których się wchodzi do wagonów austryackich, zostaną o połowę zwężone, i że przytwierdzone do tych wagonów latarnie zostaną nieco w tył wygięte. Żądanie to postawił rząd włoski z tego powodu, że przekrój poprzeczny niektórych tuneli włoskich jest tak wąski, iż normalne stopnie wagonów i niewygięte latarnie mogłyby zawadzić o ściany tunelu. Jakoż kilkanaście wagonów przerobiono odpowiednio do życzenia rządu włoskiego, a kilkotysięczny wydatek na ten cel poniósł skarb kolejowy.

Zdarzył się tu jedyny może w rocznikach kryminalistycznych wypadek ucieczki zbrodniarza sparaliżowanego do tego stopnia, iż nietylko chodzić, ale nawet siedzieć nie mógł i z tego powodu zawieszono na czas nieograniczony postępowanie karne przeciw niemu. Zbrodniarzem tym jest niejaki Aleksander Göhring, który odcierpiał już karę siedmioletniego więzienia za rozmaite szachrajstwa, a od roku ubiegłego znajdował się w śledztwie z powodu bigamii i oszustwa. Poznał on tu mianowicie pewną dziewczynę i pomimo, że był już żonaty, ożenił się z nią, poczem zabrał jej wszystkie oszczędności, jakie posiadała i porzucił ją. Oszukana dziewczyna, dowiedziawszy się o przeszłości swego uwodziciela, zrobiła przeciw niemu doniesienie karne do prokuratoryi i po długich poszukiwaniach wytropiono go nareszcie w Londynie i za zezwoleniem władz angielskich sprowadzono do Wiednia, gdzie wytoczono mu śledztwo o bigamię i oszustwo. Już w chwili dostawienia go do sądu był Göhring chory, a w toku śledztwa choroba robiła coraz większe postępy — ręce i nogi chorego zostały zupełnie sparaliżowane, a termometr przykładany do ciała chorego wskazywał stale temperaturę 38 do 39 stopni. Lekarze sądowi orzekli, że Göhring cierpi na uwiąd rdzenia pacierzowego (tabes), że paraliż jego nóg jest następstwem tabesu, i że choroba jego jest nieuleczalna. Wobec tego, że w tem stadyum choroby, nie można było zbrodniarza nawet przesłuchać, sąd zawiesił na nieograniczony czas śledztwo przeciw niemu. Przez trzy miesiące leżał Göhring w szpitalu więziennym, a następnie oddano go na koszt sądu do szpitala powszechnego na oddział chorób nerwowych profesora Wagnera von Jauregg. W szpitalu powszechnym leżał Göhring przez dwa tygodnie, poczem za pośrednictwem swego obrońcy wniósł do sądu prośbę, aby wzięto go ze szpitala i oddano w opiekę rodzinie pewnego krawca, jego znajomego, gdzie mu będzie o wiele przyjemniej, a także dla państwa będzie to połączone z korzyścią, bo krawiec ów zadowolni się mniejszą zapłatą niż szpital. Sąd zgodził się na to, gdyż lekarze orzekli, że chory ten nigdy już nie odzyska władzy w nogach, zatem możność ucieczki jego jest absolutnie wykluczona. Jakoż przeniesiono Göhringa ze szpitala do owego krawca, który żył w dzikiem małżeństwie z kochanką. Naraz po upływie kilkunastu dni donosi ów krawiec sądowi, że ten nieuleczalnie chory paralityk zbałamucił mu kochankę i uciekł z nią i że widziano ich oboje na dworcu kolei Północnej, przyczem Göhring szedł całkiem dobrze o własnych siłach. Łatwo wyobrazić sobie konsternacyę sędziów i lekarzy po otrzymaniu tej wiadomości. Początkowo nie chciano jej dawać wiary, gdy jednak przekonano się o jej prawdziwości, zwrócono się do wspomnianego wyżej profesora Wagnera v. Jauregg, z zapytaniem, co on sądzi o tem wszystkiem. Profesor Wagner odpowiedział, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Göhring cierpi istotnie na tabes, natomiast możliwem jest, że sparaliżowanie było przezeń zręcznie symulowane. Na razie rozpisano listy gończe za zbiegłym paralitykiem, który takiego figla wypłatał sądowi.

Z wystawy obrazów.

(Zbiorowa wystawa Gwozdeckiego i Pająkówny.)

Utrzymują niektórzy, że inne jest piękno absolutne, a inne piękno względne. Absolutne piękno — czyli niedościgniony ideał, urojony w myśli ludzkiej na tle codziennych wyobrażeń — ma być środkiem ciężkości naszych dążeń estetycznych, ma stanowić oś, około której możemy obracać dowolne pojęcia, nawet dowolne zasady. Nie zdołamy ani określić bliżej tego ideału, ani wskazać formy, któraby go nam choćby w przybliżeniu przedstawiła. A skoro tak jest, skoro bezowocne są wysiłki nasze w celu urzeczywistnienia absolutnego ideału piękna w zmysłowej formie, skoro nawet przy najlepszej woli musimy błądzić po manowcach — to nie krępujmy się jakiemiś tam wrzekomemi zasadami estetyki, podyktowanemi z katedry profesorskiej, wygłoszonemi w jakiemś kółku uczonych, lub wyślęczonemi nad stosem okrytych pyłem książek i manuskryptów. Wymyślmy sobie dowolne piękno względne, odpowiadające naszemu osobistemu usposobieniu, i krocząc pod jego sztandarem, roztrącajmy ignorantów, którzy nie okażą dosyć elastyczności umysłu, aby nas zrozumieć.

Takie hasło rzucili impresyoniści, secesyoniści, indywidualiści, praerafaelici, symboliści i wszyscy ci nowatorzy, tworzący rzeczy niezrozumiałe, brzydkie, albo genialne. Jest to bowiem znane, a dotychczas niewytłómaczone zjawisko, że prawdziwa genialność i chorobliwa mania tworzenia dzieł ekscentrycznych, umysłowa potęga — i bezmyślne marzycielstwo, okazują wiele podobieństwa do siebie i w oczach ludzi, sądzących powierzchownie, uchodzą częstokroć za jedno i to samo. Korzystają więc z tego pseudo-geniusze, wytwarzają dziwolągi i roszczą sobie potem pretensye, aby ich czczono, jak Prometeusa, bo i oni, jak ongiś Prometeus, wykradli bogom iskrę i w umysłach zwykłych śmiertelników wzniecają ogień... Jaki ogień? — to już ich tajemnica.

Otóż takim to Prometeusem chce być p. Gwozdecki w malarstwie i rzeźbie. Na dowód swego uzdolnienia, na dowód, że mu się udało wykraść bogom na Olimpie iskrę, urządził w Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych zbiorową wystawę swoich dzieł; zbiorową prawdopodobnie dlatego, aby stanowczo zwrócić na siebie uwagę lwowskiej publiczności, bo częściowe jego wystawy jakoś nie zrobiły wrażenia. Sposób praktycznie obmyślony. Zapełnił aż cztery sale, a pomieścił wszystko, co nosi piętno jego wrzekomego indywidualizmu, więc nawet takie rzeczy, które przeciętny — nie mistrz, lecz uczeń — rzuca do kosza, jako przedmiot bezwartościowy.

Powiedziano o nim, że jest znakomitym

---

10)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego *Karolina Dzieduszycka.*

(Ciąg dalszy).

VIII.

Chociaż Marya wyszła zwycięsko z tej walki, jednak zrozumiała, że nieprzyjaciel jeżeli się na razie oddalił, był jednak zbyt silnym i ufać mu nie należy. Trzeba było coś postanowić... i postanowiła oddalić się od Jerzego.

Uporządkowawszy swe myśli, rozważyła dobrze swoje zamiary i kiedy książę d'Eleda powrócił z Izby, powiedziano mu, że księżna czeka na niego i pragnie z nim pomówić.

Prosper Anatol stanął jak wryty. Rzecz była niezwykła: żona przywoływała go do siebie, a nieczyste jego sumienie niepozwalało mu się spodziewać niczego dobrego. Czuł, że go czeka chwila dość trudna. Podejrzywał uczciwość Jerzego, podejrzywał złośliwe zwierzenia jakiejś może zanadto serdecznej przyjaciółki, podejrzywał i samą przenikliwość swojej żony i w każdym razie obronę swoją przygotował.

— Marya grozi tragedyą — myślał sobie.— Będę miał scenę łez, scenę zazdrości... ale muszę przyznać, że zasłużyłem na nią. Jestem ubóstwiany przez żonę, której zazdroszczą mnie wszyscy, a ja natomast... Pewnie, żem bardzo zawinił. Zresztą Marya nie wie, jak daleko zaszedłem... jest nadtonaiwna, aby to podejrzywać; i tak mogę się jeszcze bronić składając to na obmowy ludzkie... Biedna kobieta! taka zakochana!...

I kiedy poprzedzony przez Wawrzyńca, wchodził do pokoju księżny, Prosper Anatol przypatrywał się z przyjemnością, swojej Don Juanowskiej postaci, którą zwierciadła odbijały.

— Kazałaś mnie zawołać? — zapytał Maryę, jak tylko zostali sami; i uprzedzając wszelkie czułości, schylił się, (Marya siedziała) i złożył pocałunek na jej włosach. Marya żywo powstała.

— Cóż znowu nowego? — zapytał gniewnie książę.

— Muszę pomówić z tobą o ważnych rzeczach.

— Doprawdy ważnych?

— Bardzo ważnych.

— Więc słucham.

— Zamierzam wyjechać zaraz do Santo Fiore i pozostanę tam długo. Przynajmniej do ukończenia edukacyi Lalli.

— Żartujesz.

— Nie; proszę cię wydaj odpowiednie rozporządzenia.

— Dobrze, wie wszystko! — pomyślał Prosper Anatol, a potem zaraz mówił dalej, udając wielkie zdziwienie.

— Jakto? Chcesz jechać do Santo Fiore, ależ ja Izby porzucić nie mogę.

— Wiem o tem doskonale. Wyjadę sama z Lallą i z miss Dill.

— Chcesz mnie rozłączyć z sobą i z mojem dzieckiem?...

— Tak być musi.

— Nie zdaje mi się... Posłuchaj kochanie, — i Prosper Anatol wziął rękę Maryi i z czułością ją ściskał; — błagam cię, zapytaj się własnego serca i powiedz mi czy...

— Nie, nie! — przerwała Marya. — Serce nic nie ma do tego. Pozostawmy to lepiej rozsądkowi obojga, aby nie być zmuszeni do tłómaczeń, których lepiej się domyślać...

— Nie, mylisz się Maryo; i twoje serce i twoja miłość własna, tylko skorzystać mogą, jeżeli ci się całkowicie szczerze wyspowiadam.

— Nie rozumiem cię.

— Nie chcesz mnie rozumieć. Oskarżyli mnie przed tobą i ty mnie potępiasz zaraz, ślepo, nie chcąc mnie wysłuchać, nie dozwalając mi się nawet bronić.

— Nie było żadnego oskarżenia, ani potwarzy. Ja cię nie potępiam i nie wiem doprawdy, z czego się chcesz przedemną spowiadać.

Prosper Anatol zrozumiał, że poszedł za daleko, ale cofnąć się teraz było niepodobnem.

— Dlaczego więc chcesz wyjechać tak nagle i niespodziewanie?

— To już mnie samą tylko obchodzi.

— Nie, obchodzi i mnie. To jest kaprys, fantazya, której przyczynę znać chcę.

Marya podniosła głowę i spojrzała w oczy mężowi. To już nie była owa bojaźliwa i nieśmiała kobiecina z Borghignano; blada, z zimnym uśmiechem, nieco sarkastycznym, wydawała się inną kobietą. Książę uczuł tę wielką w niej zmianę, nie umiejąc jej sobie wytłómaczyć i nie chcąc się do tego przyznać, znieść to musiał.

— A więc? Czekam odpowiedzi — i Prosper Anatol starał się pozostać spokojnym.

— Kocham Jerzego della Valle — odpowiedziała powoli, pewnym głosem Marya, a powieki jej nie zadrżały i nie zarumieniła się. — Wobec podłej i pełnej fałszu winy księcia, ona czuła się silną, dumną ze swej miłości, tak czystą i tak wzniosłej. — Kocham Jerzego della Valle i nie chcę, aby to przywiązanie, które potrafiło moje serce zwyciężyć, mogło kiedyś sumienie moje zwyciężyć, chcę się usunąć i uciec.

Prosper Anatol pobladł, ale się pohamował; potem, kiedy pierwsze ogłuszenie minęło, wytłumaczył sobie, że Marya udaje, aby się na nim zemścić. W każdym razie była to komedya, która mu się wielce nie podobała.

— Chcąc mi oszczędzić niewygody przenosin — odpowiedział po chwili — byłby inny sposób bronienia się i... ratowania, jak sama powiadasz.

— A to jaki?

— Nie przyjmować wcale hrabiego della Valle.

— Dałbyś do zrozumienia Jerzemu to, co jest i musi pozostać na zawsze tajemnicą dla niego i dla wszystkich.

— Kto wie? Szczęśliwszym będąc od innych, Jerzy tajemnicę może odgadł.

— Nie, przynajmniej nie przypuszczam — odpowiedziała spokojnie Marya, nie chcąc podnosić tego, co słowa męża chciały dać do zrozumienia.

Ten, wściekły, zaczął krzyczeć, broniąc się; ale nie wiedząc sam właściwie, co ma mówić, odszedł pomrukując i trzaskając ze złości drzwiami.

Wróciwszy do swojej kancelaryi i ochłonąwszy nieco, zaczął wzdłuż i wszerz chodzić po pokoju, myśląc, jak z tego wszystkiego wybrnąć z najmniejszą dla siebie szkodą.

Obawiał się także, gdyż o jego sprawie już się plotki rozchodziły, aby wyjazd Maryi nie narobił hałasu i nie wywołał skandalu.

— Nie można dopuścić, aby wyjechała, trzeba temu przeszkodzić koniecznie.

Ale jakże to zrobić?

Książę ze sto razy obszedł kancelaryę, nie znalazłszy możliwego środka. Od czasu do czasu, kiedy nowa myśl mu zabłysła, zatrzymywał się, patrząc na sufit i medytował; potem znowu spuszczał głowę i dalej chodził, coraz to bardziej zachmurzony.

— Ah! ah! — zamruczał, uśmiechając się — moja żona chce mnie w błąd wprowadzić. Przynajmniej dowiodę, że nie przestałem być rozumnym człowiekiem!

Próżny i lekkomyślny, książę d'Eleda bardziej dbał o to, aby go uważano za rozumnego, aniżeli o to, aby być człowiekiem uczciwym.

Spiesznie, nie wołając służącego, włożył paletot i wyszedł z domu.

I wsiadając do pierwszego fiakra, którego na ulicy spotkał, krzyknął:

— Via dei Fusolani! Do pałacu Castiglione!

(Ciąg dalszy nastąpi).

kolorystą, harmonizatorem. Istotnie, ogromne płaszczyzny błękitno-czarne (ultramaryna lub indygo) przerywa p. Gwozdecki nie innym kolorem, jak pomarańczowym — tak nakazują prawa harmonii. Szkoda tylko, że w tym czarnym błękicie trzeba sobie uzmysłowić: niebo, a w kolorach pomarańczy i cytryny: chmurki na niebie. Nikomu nie wolno powiedzieć, jakoby to było niedorzecznością, gdyż indywidualiście wszystko wolno, a zresztą nawet Homer, król poetów, nazywa niebo „czarnem“ i wysławia w którejś księdze Iliady „złote“ — a więc pomarańczowe i cytrynowe — chmury na niebie. Podanie twierdzi o Homerze, że był ślepym (stąd nazwa Homaros) a więc o barwach nieba i chmur łacno mógł nabrać fałszywego przekonania; czy p. Gwozdecki widzi normalnie, o to go pytać nie mamy prawa. Mamy jednak prawo powiedzieć, że ani nieba, ani chmur w takich barwach, w jakich on je przedstawia, nigdy nie widzieliśmy.

Być może, że nasza własna w tem wina. Gdybyśmy w jasny dzień palili lampy i przy sztucznem świetle lampy, zmięszanem z białymi promieniami światła dziennego, patrzyli na świat, to może ten i ów ignorant posądziłby nas o anormalny stan umysłowy, ale z pewnością zobaczylibyśmy świat w tych barwach, w jakich go widzi p. Gwozdecki. Artysta nazywa takie studyum „Przy lampie“, a tai dyskretnie okoliczność, że ta lampa świeciła się w biały dzień. Stąd ta rażąca dysharmonia między partyami oświetlonemi i zaciemnionemi w jego portretach.

Patrząc na studya portretowe p. Gwozdeckiego, przypominamy sobie mimowoli arcydzieła Rembrandta i Velasqueza. Ci mistrzowie odtwarzali na płótnie zjawisko żywego człowieka, uwieczniali rysy pokrewieństwa familijnego i narodowego, duszę modelu i historyę jego życia. Indywidualista Gwozdecki nie traci czasu na takie drobnostki. W kilku liniach charakteryzuje tylko najogólniejsze podobieństwo; traktuje je jako „malum necessarium“ (rzecz złą, ale konieczną). Zaledwie dopatrzy się podobieństwa (niekiedy przychodzi to nawet z trudnością), już kroczy do spełnienia zadań wyższych: oblewa swój model jaskrawymi promieniami bengalskiego ognia, z włosów formuje kwiaty, krajobrazy; z rysów twarzy robi dekoratywną mozaikę, całą postać przetwarza w symbol... czego? — to tajemnica, niechaj sam widz myśli. Niekiedy raczy łaskawie objaśnić, n. p. „Sfinks“, albo „Sapho“ i t. p. Sfinksem jest właściwie przeważna część jego malowideł, ale z upoważnieniem artysty nosi to miano owa wielka głowa, która wisi w dużej sali, a którą wszyscy, nie zaglądający sumiennie do katalogu, biorą za głowę Meduzy.

Emanacyą bujnej wyobraźni p. Gwozdeckiego jest „Król Duch“, naturalnie w kilku edycyach, bo rzecz tak wielka nie pomieściłaby się na jednem płótnie. Cóż ten „Król Duch“ przedstawia? Bezbrzeżną toń, przestworza falują w niewyraźnych kształtach, niby ziemia, niby morze, niby niebo; na każdym obrazie w innych liniach, innej grze barw; czarny błękit wisi złowrogo na pomarańczowych i cytrynowych horyzontach; gdzie niegdzie błyśnie szmaragdową plamą: ocean! W tych przestworzach złamanym, chwiejnym krokiem idzie, upada, podnosi się purpurowa, bolejąca postać z harfą w prawicy. Kto czyta ten blady opis, a nie oglądał obrazów na własne oczy, gotów jest przedstawić sobie niezwykle wielkie arcydzieło. Poeta może rozmarzyć czytelnika potokiem efektownych słów, choćby słowa te nie zawierały w sobie głębszych myśli, albowiem jeśli czytelnik posiada sam bujną wyobraźnię, to szumny frazes pobudza tę wyobraźnię do kojarzenia pojęć, roztaczania obrazów, wydobywania efektów i innych czynności duchowych; w ten sposób zdoła utalentowany poeta nawet bezmyślnym utworem wprawić czytelnika, posiadającego bujną wyobraźnię, w stan rozmarzenia, zwany „nastrojem“. Gdy Homer powie:

„Konie ruszyły z miejsca, brzuchami dotykając ziemi,
„Kurz zaś ogromny zakrył niedługo i jeźdźców i konie“,

to tych kilka zwrotów wystarcza zupełnie, aby w wyobraźni czytelnika wywołać cały szereg żywych obrazów, przedstawiających wyścigi na kwadrygach, odbywające się pod murami Troi. Umysłowi pomaga ta okoliczność, że wyobraźnia działa bez porównania szybciej, aniżeli organ głosu, względnie czynność czytania. Pomiędzy jednem słowem a drugiem wyobraźnia ruchliwego umysłu zdoła roztoczyć całe szeregi obrazów. Więc może sobie poeta pozwolić niekiedy na enuncyacyę, która wprawdzie nie określa jasno żadnej myśli, ale szumem frazesu rozbudza umysł czytelnika do energiczniejszej czynności, czyli, jak mówimy, wprowadza go w „nastrój“. Rozumie się, żadnemu nawet najgenialszemu poecie nie wolno machać samymi tylko frazesami, gdyż absolutną bezmyślnością nie zdołałby zająć umysłu czytelnika. Kiedy i o ile należy korzystać z tej licencyi poetyckiej, to rzecz natchnienia, genialności; pamiętać jednak należy, że od genialności jeden tylko krok do śmieszności. Apokalipsa św. Jana, jakkolwiek niezmiernie trudna do zrozumienia, jest arcydziełem, wykwitłem ze świętego natchnienia. Podobnie „Irydion“ Krasińskiego. Natomiast rapsody „Nad morzem“ p. Przybyszewskiego są tylko wytworem chorej fantazyi.

„Król-Duch“ Słowackiego stoi na granicy między dziełami genialnemi i utworami ducha schorzałego. Słowacki pisał go pod wpływem niejasnych elokubracyi Towiańskiego, roił napół bezmyślnie i stworzył w tym poemacie oderwane fragmenty bez podkładu rozumowego, jednak bądź co bądź takie, że one zdołają wprawić czytelnika w „nastrój“.

Inaczej dzieje się z obrazami p. Gwozdeckiego. Technika malarska nie rozporządza tymi środkami co poezya. Na widok obrazu nie możemy roić dowolnie, jesteśmy skrępowani gotowymi kształtami, gotową grą barw, a wrażenie, doznane wzrokiem, powstaje co najmniej tak samo szybko, jak myśl, jeśli nie szybciej, a zatem umysł nie ma ani czasu, ani sposobności do czynienia własnych uzupełnień. Oczy zachwycają się tylko widokiem rzeczy gotowej. Zadaniem malarza jest właśnie przedstawić na płaszczyźnie to, co umysł innego człowieka miałby dopiero w wyobraźni wypracować. Malarz czy rysownik ma uwolnić widza od pracy wyobrażania sobie czegoś dowolnie we własnej fantazyi, więc on zachwyci widza tem bardziej, im łatwiej go od tej pracy uwolni.

Tymczasem p. Gwozdecki nie pragnie wcale zachwycić oko widza rzeczą gotową. On sam roi niejasno. W jego nieokreślonych plamach barwnych mącą się kształty, u niego w jednym obrazie jest sto obrazków, a żaden niewykończony, a nic tych obrazków nie łączy w organiczną całość. Drobne te pomysły rażą ubóstwem logiki, nie wiążą się w potężną całość; a przecież dzieło sztuki podziwiamy tylko o tyle, o ile imponuje nam zharmonizowanie pojedyńczych jego szczegółów, czy to polegających na kształtach, czy na myślach. Jeśli Słowacki w swoim „Królu-Duchu“ roił o niezmierzonych przestworzach, to wyrażał tylko długotrwały nastrój swego umysłu, pozostawiając czytelnikowi zupełną swobodę kojarzenia swych wyobrażeń. Natomiast p. Gwozdecki wtłacza brutalnie w oczy widza pewne linie, pewne barwy, nie uzasadnia ani tych linii, ani tych barw obserwacyą natury i wymaga kategorycznie, aby na widok tego chaosu barwnych plam lub niezorganizowanych kształtów, zjawiających się na obrazie momentalnie, a więc równie momentalnie przemijających, widz wynurzał z siebie taki sam chaos afektów, jaki grał w uczuciu malarza przez długi przeciąg czasu, spotrzebowany na wykombinowanie owego obrazu w umyśle malarza i oddanie go na płótnie. Ależ to niemożliwe! Obraz, który zamiast ułatwiać widzowi pracę wyobrażania sobie czegoś, tylko mu tę pracę utrudnia, taki obraz zaprzecza sobie racyi bytu. Jeśli nie widząc obrazu, łatwiej coś pojmę, aniżeli na widok obrazu, to lepiej go nie oglądać.

Do tego dodajmy jeszcze braki w rysunku, szorstkość w zestawianiu i odważaniu barw, a nadewszystko: niesmaczne powtarzanie tych samych pomysłów, tej samej gry barw i linii, a cóż wtedy pozostanie na konto plusów?

Jak na płótnie chce malować potokiem słów, tak również chce p. Gwozdecki słowami rzeźbić. Więc też rzeźby jego, to w gips zbite frazesy. Taka „Rozmowa w nocy“, „Wrażenie kwiat“, „Wrażenie myśl“, „Wrażenie burza“, „Wrażenie spokój“, „Wrażenie portretu“ i t. p. same tylko wrażenia, działałyby na fantazyę, gdyby się je wypowiedziało słowem, lecz nierobiące żadnego „wrażenia“, gdy się je ma wyczytać z masy gipsu, zaledwie cośkolwiek uformowanej.

Mówimy p. Gwozdeckiemu szczerą prawdę nie dlatego, aby mu podciąć skrzydła artystyczne, lecz aby go szczerym sądem zawrócić na lepszą drogę, gdyż mimo wszystkich wyliczonych wad dopatrzyliśmy się w jego pracach ogromnego talentu. Wielką szkodę wyrządziłby p. Gwozdecki sztuce polskiej, gdyby szedł dalej drogą imaginacyi i autoteozy, czyli ubóstwiania siebie samego. W trzech studyach „Bruk wieczorem“ i w bardzo dobrym obrazie „Pociąg“ uwidocznił artysta tyle siły twórczej i takiego polotu myśli, że zapragnęliśmy gorąco, aby zapanował nad swą wyobraźnią i stworzył nam dzieła wielkie, ale prawdziwe.

Obok zbiorowej wystawy p. Gwozdeckiego mamy w dwóch mniejszych salach zbiorową wystawę najnowszych prac panny Pojąkównej. Jej twórczość jest przeciwieństwem p. Gwozdeckiego. Gdy ten lubi kolory pełne, nasycone, panna Pająkówna lubuje się w odcieniach delikatnych, bladych. Gwozdecki zestawia kontrasty brutalnie, niby z rozmachem geniusza, pna Pająkówna wpatruje się chętnie w półtony, stara się je odważyć i położyć ostrożnie na stosowne miejsce. Szczególnie karnacyę studyuje gorliwie. Lecz w tem wszystkiem posiada za mało talentu. Osobliwą wadą panny Pająkówny jest to, że za wyraźnie oddziela plany barwne, czem zmusza widza do szukania bardziej oddalonego punktu obserwacyi. Twarzyczki dziecięce i kobiece udają się jej wcale dobrze w rysunku, tylko brak im wyrazu, nie trafia też harmonii przedniego planu z planem dalszym. Jakkolwiek więc ujmuje sympatycznie obfitością światła i dążeniem do prawdy, to przecież większych sukcesów nie możemy jej rokować.

Co i o czem piszą.

W sprawie braku robotników rolnych, będącej teraz bodaj czy nie najbardziej piekącą, wypowiada szczery żal jeden z dzierżawców z pod Rzeszowa w *Gazecie Narodowej*. Środków zaradczych, proponowanych przez niego, oczywiście zastosować nie można, przynajmniej w tej formie, w jakiej on je proponuje. Ale skargi jego warto wysłuchać. Pisze on:

Klimatyczne położenie naszego kraju nieszczególne; raz posucha wypali, to znowu słota zboża wyniszczy. Raz myszy wyjedzą — to znowu gdy trochę lepszy urodzaj, zboże bardzo tanie. Po nad wszystkiem złem atoli góruje u nas brak służby i robotnika, pomijając już to, że sługę i robotników stosunkowo do wydatności ich pracy i do naszych cen zboża drogo płacić musimy. Jestem dzierżawcą, gospodaruję na obszarze 430 mg., potrzebuję do obsługi inwentarzy i uprawy roli 20 ludzi służby rocznej. Dotąd bywało jeszcze jako tako. W tym roku coś się stało, lud opanowała gorączka i do Prus idą. Zaraz po N. Roku było tak przez parę dni, że karbownik wodę ze studni ciągnął, a ja i moja żona wyprowadzaliśmy fornalki do pojenia, bo nikogo ze służby do pomocy nie było. Dopiero jakoś w Trzech Króli, jak się wychodzili po wsi, wypróżnowali i wziętą w Nowy Rok zasługę przepili, poprzychodzili napowrót i służą dalej. Ale ileż strapienia i irytacyi przeszedłem, a jeden z nich pocieszył mnie przynajmniej, bo mi powiedział: „było nam jegomości bardzo żal, tośwa powrócili“.

Nadmienić muszę, że płacę fornalowi 41 złr., daję 10 cetn. metr. zboża bardzo dobrze czyszczonego, pół morgi ziemi wygnojonej pod okopowe, pastwisko i utrzymanie dwu sztuk bydła (a gdy nie trzyma bydła, dostaje 6 złr. gotówką) i furę siana z łąki, słowem ma utrzymanie takie, jakiego nie jeden gospodarz na wsi nie posiada. Pastuch, który 11 lat u mnie służył, w tym roku podziękował. Dlaczego? pytam. Do Prus idę. A po co? A kiejta drudzy idą, to i ja pójdę. Wreszcie po długich namowach i perswazyach starego i dobrego mojego sługi, karbownika, oświadczył mu: „ja ta zostanę, ale nie mówcie nic, niech się ta natrapią!“ Oto illustracya dzisiejszych stosunków służbowych, które takie same zapewne są u nas przeważnie. Ileż to szkody każdy z nas ponosi w polu przy zbiorze siana lub zboża przez to, że coby powinno być zrobione w jednym dniu, trwa dni kilka, albo i kilkanaście, bo nie ma potrzebnej ilości rąk do pracy. I dzieje się tak, że jedna robota nieskończona, a druga już gwałtu woła — i tak dalej i dalej — i przez to zaniedbuje się uprawę roli, opóźnia się zasiew oziminy; często i słota zastaje niesprzątnięte zboże w polu, które porasta i traci na wartości, słowem szkody nieobliczone — i cóż tu się dziwić, że nie jeden właściciel majątku, znękany i wyczerpany takiemi trudnościami, widząc, że do upadku i ruiny przyjść musi, pozbywa się tej ziemi, choć często może z żalem i bolem serca.

Nie przeczę, że każdy człowiek powinien mieć swobodę rozporządzania swoją osobą; nie przeczę, że całej masie ludzi potrzebującej zarobku, nasze gospodarstwa rolne dać go nie mogą i że tego zarobku gdzieindziej lud szukać musi, ale przecież obmyśleć potrzeba środki, aby z kraju lekkomyślnie nie wychodzili ci, którzy tutaj mogą mieć służbę lub całoroczny pewny zarobek. Dzisiaj już nie istotna potrzeba zarobku, ale jakiś paroksyzm emigracyi owładnął ludem. Dzisiaj znaczna część młodzieży, która miałaby służbę tutaj, czy to we dworze, czy to u gospodarzy zamożniejszych we wsi, nie da się za żadną cenę nakłonić do pozostania na miejscu, ale wychodzi w świat. Idą dziewczęta często młodziutkie, bo tu w domu pod okiem rodziców, krewnych i proboszcza wystrzegać się muszą czynów nagannych, a tam bez przeszkody żadnej oddają się rozpuście; idą chłopacy wierni towarzysze swoich bogdanek, tam łączą się w pary, podają się za małżonków i tak używają błogich chwil młodego wieku. To też powróciwszy do domu na zimowe leże, zdemoralizowani, zbydlęceni, napełniają całą wieś rozpustą, próżniactwem, bitkami i awanturami i taki to jest dorobek moralny, który przynoszą społeczeństwu, bo o dorobku materyalnym mowy niema, bo albo nic, albo mało co pieniędzy zaoszczędzą.

Niechże więc ci, którzy słusznie boleją nad zanikaniem dworów wiejskich pomyślą o tem, aby tak masowe wychodźtwo i to szczególnie do Prus powstrzymać lub bodaj do pewnych granic umniejszyć, przez zakaz np. dziewczętom do 20 roku życia, a parobkom powinno być dozwolone o tyle, o ile tu w miejscu służby i zatrudnienia nie mają.

W tej wsi, gdzie mieszkam i zamęczam się gospodarstwem, zawsze z wiosną 500 ludzi wychodzi w świat — a czy potrzebują? Nie! więcej niż połowa ich z pewnością miałaby tu stały zarobek i nie gorszy, jak tam w Prusach. Niechże więc nasze wpływowe i miarodajne czynniki starają się usilnie o to, aby ta emigracya robotników miała tylko o tyle miejsce, o ile w danej miejscowości jest istotnie potrzebą — a niech nie będzie wśród ludu gorączką i paroksyzmem.

Wypadki w Rosyi.

Warszawa. Niektóre pisma notują pogłoskę, że zastrzelony przez samosąd robotników jeden z morderców śp. Grajnerta, niejaki Grobelny, jest zupełnie niewinny. Po dokonaniu morderstwa uciekał on tylko razem z innymi, ponieważ zaś był głuchym, nie mógł odpowiadać na pytania indagujących go robotników. Zwłoki tego Grobelnego znikły z trupiarni bez śladu i nikt nie wie, co się z niemi stało.

Odesa. Wczoraj przedpołudniem zamordowali dwaj złoczyńcy dyrektora więzień Sacharuka. Dali oni z ukrycia 7 strzałów rewolwerowych, poczem podczas pościgu rzucili dwie bomby, które jednak nie wybuchły. Jeden ze sprawców uciekając zranił żandarma, poczem zastrzelił się; drugiego schwytano.

Petersburg. O onegdajszej audyencyi prezydenta dumy u cara, słychać z wiarygodnej strony prywatnej, że po przyjęciu Gołowina przez cara, zaprosił go car, ażeby usiadł, poczem oświadczył, iż z zajęciem śledzi rozprawy dumy i spodziewa się, że dotychczasowe nierówności znikną. Car oświadczył, że uważa, iż Gołowin postępuje nieco stronniczo, gdyż proteguje lewicę. Gołowin odpowiedział, że położenie jego jest trudne, gdyż większość dumy jest radykalna. Car przyrzekł Gołowinowi udzielić mu dalszych audyencyi i dodał, że audyencya dlatego została odłożona, gdyż car przeciążony był pilnemi sprawami państwowemi.

Petersburg. Były minister sprawiedliwości Akimow został mianowany prezesem Rady państwa.

Petersburg. O zajściu w dumie, sprowokowanem przez posła Puryszkiewicza w chwili wniesienia projektu autonomii Polski, donoszą jeszcze następujące szczegóły: Projekt autonomii Polski wniesiony został do prezydyum dumy przez posła Harusewicza. Gdy wiceprezydent odczytując wniesione projekty, przystąpił wreszcie do czytania projektu autonomii, krzyknął Puryszkiewicz na cały głos: „Czego? — jakiej Polski?“ Powstała ogromna wrzawa. Prezydent przywołał Puryszkiewicza do porządku, a wiceprezydent dokończył czytania projektu. Puryszkiewicz krzyczy: „Nie zgodzę się nigdy na obrady nad tym projektem. Coby na to powiedziały cienie Katarzyny II i Fryderyka Wielkiego“. Głosy: Wyrzucić go! Precz z błaznem! Prezydent wśród ogromnej wrzawy wzywa do uspokojenia się. Puryszkiewicz, wszedłszy na trybunę, poczyna obrzucać obelgami całą dumę. Woła: Nie mogę pracować w takiej dumie! Pal was wszyscy dyabli! chcecie rozerwać Rosyę! Prezydent ponownie przywołuje go do porządku. Puryszkiewicz: Ja się sam przywołuję do porządku i wychodzę. Nie chcę z wami pracować. Po odejściu awanturnika duma przystąpiła do dalszych obrad.

Twer. Sąd skazał zabójcę Ignatiewa na 11 lat ciężkich robót.

Warszawa. Do tutejszych pism donoszą z Lublina o następującem zajściu: Ścigany przez policyę rabuś, niejaki Lis, skrył się w warsztacie kowalskim. Oddziały policyi i wojska otoczyły ten lokal. Lis dał ognia i zabił urzędnika policyi, a drugiego zranił. Zatoczono armatę i zakład zniszczono strzałami armatnimi. Lisa ciężko rannego ujęto.

Łódź. Zabito znowu trzech robotników, a trzech zraniono.

Nowy rozkład jazdy.

Dyrekcya kolei państwowych ogłasza:

Z dniem 1 maja b. r. wejdzie w życie nowy rozkład jazdy na kolejach państwowych. Ważniejsze zmiany będą następujące:

Pomiędzy Wiedniem a Lwowem kursować będzie nowa para nocnych pociągów pośpiesznych nr. 7 i 8.

Pociąg pośpieszny nr. 7 odjedzie z Wiednia wieczorem o godz. 8, przyjedzie do Lwowa o godz. 8 min. 55 rano. Pociąg pośpieszny nr. 8 odjedzie ze Lwowa o godz. 7 minut 5 rano. Te nowe pociągi pośpieszne kursować będą już w nocy z dnia 30 kwietnia na 1 maja.

Pociąg pośpieszny nr. 7 będzie tworzyć dogodne połączenie w Jarosławiu z pociągiem osobowym nr. 911, odjeżdżającym o godz. 6 min. 42 rano do Sokala, w Przemyślu z pociągiem nr. 2016, odjeżdżającym o godz. 8 minut 55 rano do Chyrowa, zaś we Lwowie do pociągu nr. 2113 w kierunku Sambora i Sianek (odjazd o 9 min. 5 rano), do pociągu nr. 311 w kierunku do Ickan (odjazd o godz. 9 minut 20 rano), do pociągu nr. 2211 w kierunku do Itzkan (wyjazd w kierunku, do Bełzca, Sokala (odjazd o godz. 11 min. 5 rano).

Pociąg pośpieszny nr. 8 będzie miał połączenie z pociągiem osobowym, przyjeżdżającym z Podwołoczysk do Lwowa o godz. 5 minut 40 popołudniu, z pociągiem stryjskim (przyjazd do Lwowa o godz. 3 min. 51 popołudniu), oraz z pociągiem przyjeżdżającym z Jaworowa o godz. 5 popołudniu.

Oprócz tych szczególnie dla sfer handlowych i przemysłowych dogodnych pociągów pośpiesznych, kursować będzie pomiędzy Lwowem a Krakowem nowa para pociągów osobowych, a to nr. 11 i 20. Pociąg nr. 11 mieć będzie połączenie z pociągiem pośpiesznym, odjeżdżającym z Wiednia o godz. 3 min. 5 popołudniu, przyjeżdżającym do Krakowa o godz. 11 min. 42 wieczór, do Lwowa zaś przyjedzie o godz. 9 min. 45 rano. Pociąg nr. 20 odjedzie ze Lwowa o godz. 7 min. 20 wieczór, przyjedzie do Krakowa o godz. 5 min. 15 rano i tu będzie miał połączenie tak do pociągu pośpiesznego, odchodzącego z Krakowa o godz. 7 min. 18 rano (przyjazd do Wiednia o godz. 3 min. 35 popołudniu), jakoteż i do pociągu osobowego, odjeżdżającego z Krakowa o godz. 6 35 rano (przyjazd do Wiednia o godz. 7 min. 54 wieczór).

Wieczorny pociąg osobowy nr. 12, odjeżdżający obecnie ze Lwowa o godzinie 6 minut 35 wieczór, zostanie przyśpieszonym i wyjeżdżać będzie ze Lwowa o godzinie 6 minut 15 wieczór i otrzyma w Krakowie połączenie z wiedeńskim pociągiem pośpiesznym, przyjeżdżającym do Wiednia o godzinie 1 minut 6 popołudniu.

Poranny pociąg rzeszowski nr. 21 (odjazd obecny z Rzeszowa o godzinie 5 minut 52 rano) wyjeżdżać będzie z Rzeszowa dopiero o godzinie 8 minut 37 rano w tym celu, by uzyskać połączenie z pociągiem nr. 23, przyjeżdżającym z Tarnowa do Rzeszowa o godzinie 8 minut 15 rano.

Odnośnie do szlaku Lwów-Rzeszów nadmienić wypada, że ranny lwowski pociąg osobowy (odjazd godz. 8 min. 40) uzyska w Jarosławiu połączenie z pociągiem przyjeżdżającym z Sokala, zaś pociąg osobowy krakowski nr. 17 (przyjazd do Lwowa o godzinie 5 minut 50 rano) łączyć się będzie we Lwowie z pociągiem nr. 2111 (nowym) do Sambora i Sianek (odjazd ze Lwowa o godzinie 6 rano).

Na szlaku Lwów-Podwołoczyska wprowadza nowy rozkład jazdy zmianę o tyle, że zamiast pociągu osobowego nr. 13 (odjazd obecnie ze Lwowa o godzinie 9 minut 50 wieczór) pociągu osobowego nr. 15 (odjazd z dniem 1 maja o godzinie 7 wieczorem) łączyć się będzie w Wołoczyskach z nocnym pociągiem rosyjskim, również uzyska tenże pociąg na szlaku Krasne-Brody połączenie do Brodów natomiast zniesionem będzie w Krasnem połączenie z Brodami od pociągu lwowskiego nr. 11.

Wspomniany pociąg nr. 13 przełożony zostaje o 1 godz. 25 min. później i będzie odchodził ze Lwowa o 11 godzinie 15 minut w nocy, a przybywał do Podwołoczysk o 5 godzinie minut 10 rano.

Równocześnie i w tej samej mierze przesunięty będzie pociąg osobowy na szlaku Krasne-Brody, łączący się w Krasnem z pociągiem nr. 14 i wedle nowego rozkładu jazdy przybędzie do Brodów o 1 godz. 46 min. w nocy.

Między Przemyślem a Mezö Laborczem wprowadza nowy rozkład jazdy donioślejsze zmiany w ruchu pociągów tylko na częściowym szlaku z Zagórza do Mezö Laborcza. Zmiany te mają na celu lepsze obsłużenie ruchu lokalnego tamtejszej okolicy z Sanokiem, z Mezö Laborcza bowiem pociąg nr. 2025 odjeżdża o godz. 5 min. 5 rano, pociąg zaś nr. 2027 popołudniu o godz. 4 min. 55 z powrotem zaś do Mezö Laborcza pociąg nr. 2126 przybywa o godz. 12 min. 25 popołudniu zaś nr. 2028 o godzinie 10 min. 5 wieczór.

Z tej przyczyny dotychczasowy pociąg nr. 2014 (2024 nowy) będzie kursował tylko do Chyrowa, a natomiast w przedłużeniu pociągu nr. 2020 prowadzić się będzie pociąg nr. 1236 nowy z Chyrowa do Sanoka (Chyrów odjazd 5 min. 47 popołudniu, Sanok przyjazd 7.56 wieczór.

Na szlaku Lwów-Sambor kursować będzie jedna para pociągów osobowych więcej, a to pociąg nr. 2.111 (nowy), odjeżdżający ze Lwowa o godz. 6 rano (przyjazd) do Sambora o godz. 8 min. 11 rano, do Sianek o godz. 11 min. 55 (przed południem) i pociąg nr. 2.114 (nowy), odjeżdżający ze Sianek o godz. 4 min. 55 rano, z Sambora o godz. 8 min. 18 rano, i przyjeżdżający do Lwowa o godz. 10 min. 30 przedpołudniem.

Przez nowy pociąg nr. 2.111, którego ciąg dalszy od Sambora stanowi dotychczasowy pociąg nr. 2.121, przychodzi wreszcie do skutku wielce pożądane, jedyne, lecz bardzo dogodne połączenie stolicy kraju przez Sianki do Węgier, zarazem zaznacza się, że nowy pociąg nr. 2.111 łączy się we Lwowie z pociągami nr. 17 z Krakowa i nr. 314 ze Stanisławowa.

Pociąg nr. 2.114 będzie miał we Lwowie wygodne połączenie do Podwołoczysk, Rawy ruskiej i Sokala.

Również pomnożoną została o jedną parę liczba pociągów na szlaku z Jarosławia do Sokala i ze Lwowa do Rawy ruskiej, a to celem lepszego obsłużenia ruchu lokalnego na tychże szlakach. Od 1 maja wyjeżdżać będą z Jarosławia pociągi osobowe o godzinie 6 min. 42 rano, o godzinie 11 min. 8 przed południem, o godzinie 7 min. 30 wieczorem i przyjeżdżać do Sokala o godzinie 11 min. 35 przed południem, o godzinie 4 min. 22 popołudniu i o godzinie 12 min. 39 w nocy; zaś z powrotem z Sokala o godzinie 7 minut 10 rano, o godzinie 11 minut 36 przed południem i o godzinie 11 minut 55 w nocy, zaś przyjeżdżać będą do Jarosławia o godzinie 12 minut 14 popołudniu, o godzinie 4 min. 50 popołudniu i o godzinie 7 minut 1 rano.

Na szlaku ze Lwowa do Rawy ruskiej kursować będą pociągi ze Lwowa o godzinie 6 minut 12 rano, 11 min. 5 przed południem i 7 minut 10 wieczorem, a przyjeżdżać będą do Lwowa o godzinie 7 minut 10 rano, o 12 minut 40 popołudniu i o 4 minut 50 popołudniu.

Zarazem nadmienia się, że nowe pociągi szlaku Jarosław-Sokal łączą się w Rawie ruskiej z nowemi pociągami szlaku Lwów-Rawa ruska, przezco umożliwiono również nową i bardzo dogodną komunikacyę między Lwowem i Lubaczowem przez Rawę ruską.

Ruch pociągów wycieczkowych ze Lwowa do Brzuchowiec, Lubienia, Pustomyt i Janowa nie uległ żadnej zasadniczej zmianie.

Podobnie nie wprowadza nowy rozkład jazdy zmian większych na szlakach kolei lokalnych z Przeworska do Dynowa, z Borek wielkich do Grzymałowa, z Nowego Łupkowa do Cisny i ze Lwowa do Jaworowa.

Wreszcie na szlaku kolei lokalnej Tarnopol-Zbaraż, przełożone zostały pociągi mieszane nr. 5353 i 5354 w ten sposób, że kursować będą według nowego rozkładu jazdy: Tarnopol odjazd godz. 2 popołudniu, Zbaraż przyjazd godz. 3 min. 43 popołudniu, względnie Zbaraż odjazd godz. 4 min. 40 popoł. Tarnopol przyjazd godz. 6 min. 20 wieczorem i umożliwią dogodniejszą komunikacyę w ruchu lokalnym Lwów, względnie Tarnopol-Zbaraż, oraz na odwrót.

KRONIKA.

Lwów 25 kwietnia.

Próbny wybór prezydenta miasta odbył się wczoraj wieczorem na tajnem posiedzeniu Rady miejskiej. Głosowało 78 radnych. Rezultat głosowania był następujący: Pierwszy wiceprezydent dr. Rutowski otrzymał 27 głosów, drugi wiceprezydent p. Ciuchciński otrzymał 22 głosów, panowie: Schayer 1, Riedl 1 i Friedrich 1. Nadto oddano 26 czystych kartek.

Ponieważ wobec takiego rezultatu żaden z kandydatów, na których wczoraj głosowano, nie ma szans wyjścia z urny wyborczej, odbyły się narady klubów w celu wzajemnego porozumienia. Klub lewicy i centrum uchwaliły głosować za dr. Rutowskim, zaś klub mieszczański uchwalił podtrzymywać kandydaturę wicepr. Ciuchcińskiego. Ponieważ kluby centrum i lewicy liczą razem 32 członków, zaś Koło mieszczańskie 40 członków, wybór zależeć będzie od tego, na którą stronę przechylą się radni nie należący do żadnego z klubów.

Dodać należy, że prezydentem wybrany może być tylko ten, kto otrzyma najmniej 51 głosów.

Katolicko-narodowi wyborcy piątego (V) okręgu miasta Lwowa zgromadzili się w liczbie kilkuset we wtorek w sali Tow. pedagogicznego dla wysłuchania wyznania wiary kandydata katolicko-narodowego Centrum z tego okręgu, p. Szyszyłowicza. W blisko dwugodzinnej mowie rozwinął radzca Szyszyłowicz program polityczny. Wywody kandydata, nacechowane gruntowną znajomością spraw krajowych i państwowych, wypowiedziane z niepospolitą swadą, wywarły jak najlepsze wrażenie na słuchaczach, którzy przerywali je też co chwila oklaskami. Nastąpił długi szereg interpelacyj, na które kandydat odpowiadał ku zupełnemu zadowolnieniu tak interpelantów, jak i ogółu zgromadzonych. Zgromadzenie zakończyło się jednogłośnem uchwaleniem wśród burzy oklasków kandydatury dra Ignacego Szyszyłowicza z V okręgu.

Uroczysty obchód pamiątkowej rocznicy poświęcenia kościoła św. Wojciecha, Patrona i Apostoła narodu polskiego, odbędzie się w starożytnym, a nowo odzyskanym kościele św. Wojciecha we Lwowie (przy ulicy św. Wojciecha) w niedzielę dnia 28 kwietnia rb. Sumę odprawi i wygłosi kazanie Najprzewielebniejszy Biskup Sufragan dr. Władysław Bandurski o godzinie 10½. Wotywa o godzinie 8½, a nieszpory o godzinie 5-tej.

Afront Polaków. W dumie zrodziła się wątpliwość, czy Koło polskie powstało wtedy, gdy na pierwszem posiedzeniu wnoszono okrzyk na cześć cara. Jedni utrzymywali, że tak, inni, że nie. Owóż dwaj szowinistyczni dziennikarze rosyjscy, jeden współpracownik *Wileńskiego Wiestnika*, a drugi współpracownik *Minskawo Słowa*, rozpoczęli zbieranie w dumie między posłami podpisów na dowód, że Polacy nie powstali z miejsca. Wyznajemy otwarcie, że ubolewamy bardzo nad tem, że taka wątpliwość wogóle powstać mogła.

Napad na dwór. W nocy z poniedziałku na wtorek o godzinie 10 banda rabusiów dokonała śmiałego napadu na folwark Okrzesin pod Warszawą, należący do p. Jana Szudzińskiego. Bandyci w liczbie 15, uzbrojeni w browningi, wyłamali drzwi wchodowe i wtargnąwszy do wnętrza domu, zażądali od właściciela 500 rubli. Kiedy p. Szudziński odmówił, bandyci związali go sznurami razem z synem i służącym Feliksem Kanabisem i zaczęli plądrować w mieszkaniu. Po rozbiciu kufrów i biurek bandyci znaleźli w nich i zabrali 440 rubli, w gotówce oraz za 300 rubli biżuteryj, a następnie, obiwszy kijami skrępowanych, rzucili się do ucieczki, zabierając po drodze z wozowni bryczkę wraz z parą koni. Bandyci po dokonaniu napadu odjechali, jak świadczą ślady, w stronę Wilanowa, gdzie pozostawili konie, sami zaś znikli bez śladu. Nazajutrz bryczkę z końmi znalazł pod Wilanowem włościanin, Henryk Cegłowski. Bandyci, według zeznań napadniętych, byli wszyscy młodymi dwudziestoletnimi wyrostkami; na twarzach mieli maski.

Z teatru. Z powodu niedyspozycyi pny Hendrichównej jutro w piątek po raz 5-ty: „Wesoła wdówka“, operetka Lehara z panią Schupp w roli tytułowej.

Szykanowanie posłów do dumy. Z Petersburga donoszą o nieproszonej, a wielce dokuczliwej opiece, jaką biurokracya tamtejsza otacza posłów do dumy, strzegąc ich głównie przed zetknięciem się z dziennikarzami. Dość korespondentowi zbliżyć się do posła włościańskiego, aby zjawił się albo sam pan „komendant“ pałacu Taurydzkiego, pułkownik Osten-Sacken, lub który z jego pachołków i w brutalny sposób przerwał rozmowę. *Nielzia razgawariwat'* (nie wolno rozmawiać) — będzie to niewątpliwie historyczny frazes w dziejach rosyjskiego parlamentaryzmu!

Ponieważ pułk. Osten-Sacken nie mógł sobie dać rady z tylu dziennikarzami, więc Stołypin wyznaczył mu pomocnika w osobie porucznika Ponomarewa, który od kilku dni grasuje w korytarzach, w bufecie, a nawet w urzędzie pocztowym. Pan porucznik nie spuszcza z oka nietylko dziennikarzy, ale i posłów, przysłuchując się bacznie ich rozmowie. Jest więc w dumie nowy rodzaj cenzury! I do tej kontroli nad przedstawicielami prasy i posłami w dumie został wyznaczony głupkowaty oficerek! Okazuje się, że i teraz jeszcze niema głupstwa, do którego nie byłaby zdolną biurokracya rosyjska. Wobec tej czułej „opieki“ pana pułkownika i jego pomocnika, trzeba się istotnie dziwić, że dotychczas nie rozciągnięto cenzury na rozwieszone w korytarzach spisy grup parlamentarnych. Zmieniają się one ciągle i naocznie przekonywują, jak szybko topnieje prawica. Nazwiska z tablicy „monarchistów“ niemal co dnia wędrują na listy skrajnej lewicy i niebawem przywódcy Związku narodu rosyjskiego, pp. Puryszkiewicz, Kruszewan i Kielepowski będą figurować jako jedyni przedstawiciele tej partyi rządowej w dumie. Nawet archijerej chełmski, Eulogiusz, po ostatnich skandalicznych prowokacyach Puryszkiewicza, opuścił szeregi monarchistów i wstąpił do grupy umiarkowanych.

Przeglądanie tych tablic jest też z tego względu pouczające, że nie brak tam i różnych... aforyzmów, charakteryzujących dane stronnictwo. Na tablicy Kół polskich znalazła się również uwaga. Poseł prof. Chorwat (Rosyanin z prawicy), dopisał na liście polskie dwa słowa: „partya rozumu“.

Ta charakterystyka świadczy, że nasza reprezentacya w dumie nawet wśród przeciwników politycznych zdobyła szacunek dzięki swej sile intelektualnej i kulturze.

Z wrażeń Polaka w Marokko. *Słowo* warszawskie otrzymuje interesujący opis pobytu w Marokko, nadesłany przez p. Jana Jodkę, uczestnika podróży naukowo-turystycznej, urządzonej przez *La Revue Générale des Sciences*. List p. Jodko, datowany z Wielkiego Piątku, łączy się z ostatniemi wydarzeniami w Marokko, zwłaszcza z zamordowaniem dra Mauchamps. P. Jodko pisze:

Od kilku dni wre w Marokko. Zamordowanie doktora Mauchamps przez tłuszczę rozwścieczoną (niektórzy twierdzą: podmówioną) w chwili, gdy ustawiał na domu swym maszt dla wywieszenia chorągwi francuskiej, wywołało straszne wrzenie na całem wybrzeżu marokkańskiem. Przedwczoraj, gdyśmy dopływali do Tangieru, jednocześnie prawie z nami stanął na kotwicy pancernik „Joanna d'Arc" i natychmiast zagrzmiały armaty, zwiastujące jego przybycie. Wrażenie w mieście było nie do opisania. Wchodziliśmy właśnie do tak zwanej „Kazbah" (forteca, zamek, pałac), gdy dały się słyszeć pierwsze trzały armatnie.

Widok stu przeszło Europejczyków, z których każdy miał czerwoną wstążeczkę ze złotym napisem, jako odznakę uczestnictwa w podróży, wchodzących razem do fortecy i rezydencyi gubernatora w chwili, gdy z olbrzymiego statku u stóp tejże fortecy raz po raz padały gromy, wywołał popłoch nie do opisania. Konsul francuski przybył, prosząc, byśmy przed zachodem słońca byli już na statku i żebyśmy przy zwiedzaniu miasta unikali wszelkich sporów, nie próbowali wchodzić do meczetów lub cmentarzy, a przedewszystkiem nie zbliżali się do domów, w których uprawiają palenie opium i haszyszu. Nazajutrz rano, gdyśmy dopłynęli do Mazaghanu i chcieli, pomimo silnej fali, wysiąść na brzeg, konsul francuski przybył na statek i prosił, żeby nikt do miasta nie płynął, zanim on nie otrzyma od kaida dostatecznej liczby żołnierzy lub sauszów, żeby zapewnić przybyłym bezpieczeństwo.

Wczoraj bowiem dopiero przybyło z Marakeszu ciało dra Mauchamps, złożone tymczasowo na tutejszym cmentarzu, zanim do Francyi zostanie przewiezione.

O godzinie 2 przybyła gwardya kaida, a o godzinie 3 wszyscy pasażerowie statku „Ile de France" zebrani byli w konsulacie, a stamtąd ruszyli na cmentarz. Nieprzebrane tłumy dzikich Marokańczyków nam towarzyszyły. Nad zwłokami konsul francuski kilka gorących słów wypowiedział, kapelan naszego statku święconą wodą je pokropił i wyszliśmy głęboko wzruszeni tym tak niespodziewanym wśród naszej wycieczki epizodem.

Doktor Mauchamps od kilku lat mieszkał w Marrakesz i tu z największem poświęceniem i bezinteresownością leczył tuziemców, którzy podlegają strasznym chorobom skóry i oczu. Przed kilku dniami dr. Mauchamps, który już zauważył pewne wrzenie, i w zimie jeszcze żonę i dzieci wysłał do Europy, kazał na dachu swojego domu postawić maszt dla wywieszenia chorągwi francuskiej, mającej zabezpieczyć go od wszelkich napaści. Tymczasem ktoś, ale kto — niewiadomo, rozpuścił po mieście pogłoskę, że dr. M. ustawił sygnał dla sprowadzenia Giaurów. Tłum wpadł do domu i dr. Mauchamps zabity został uderzeniem strasznej „matraki" i kilku pchnięciami kandżara. Stamtąd tłuszcza przebiegła do konsulatu angielskiego, w którym znalazła wszystkie wejścia silnie zatarasowane. Konsul z balkonu strzelił dwa razy, kładąc dwóch ludzi trupem. Gwardya kaida zabiła 8 ludzi jeszcze i tłum rozpierzchł się, miotając przekleństwa i zaprzysięgając zemstę. Rozpisałem się nieco o tym wypadku, bo kto wie, jak groźne może wywołać następstwa.

Dziś cały dzień przebyliśmy w Modagorze. Margrabia de Ségonzac, słynny eksplorator Marokka, w którem przez dłuższy czas w górach był więziony, i profesor Sorbonny paryskiej dr. Bernard, w nadzwyczajnie zajmujących odczytach, które się co wieczora na statku odbywają, zapoznali nas z historyą i geografią Marokka. I dziś pod ich egidą mieliśmy zwiedzać na pustyni wsie, a raczej osady marokańskie, składające się z kilkunastu zameczków obronnych, do których bydło i owce co wieczora po zwodzonym moście, a mieszkańcy za pomocą drabin ze sznurów na noc wracają.

Konie już były osiodłane, gdy nadbiegł konsul francuski, błagając, by nikt po za mury miasta nie śmiał wyglądać. Kaid pustyni zagroził bowiem, że pierwszych Europejczyków, jakich uda mu się schwytać, zatrzyma jako zakładników. Jużem się był ze smutnym losem pogodził, gdy podszedł do mnie pułkownik kirasyerów de Tremont, z którym w Tangierze dłuższe ekskursye konno odbywaliśmy i szepnął mi do ucha: „Jedźmy, konie gotowe". Uległem pokusie i za chwilę znaleźliśmy się wśród gór piaszczystych, zrzadka tamariksem porośniętych. Wypowiedzieć nie potrafię, co za rozkosz znaleść się na koniu wśród pustyni po całorocznem kołysaniu okrętowem. Ale niestety, wszystko ma swój koniec, niekiedy żałosny. Od rana już chmury zbierały się na horozyncie, raptem lunął deszcz i rzeka, którą przed paru godzinami przebyliśmy, zaledwie po kolana zamoczywszy nogi naszych koni, tak nagle wezbrała, żeśmy z największą trudnością ją przebyli.

Dostajemy się wreszcie do tak zwanej „Marina". Już pół do szóstej, a o szóstej „Ile de France" ma odpłynąć. Arabowie nas porywają, wnoszą do barki i niebawem mimo silnych fal i wiatru, wiejącego od oceanu, zbliżamy się do statku o jakie pięćset kroków. Słyszymy dobrze znany odgłos wyciągania kotwicy i statek majestatycznie odpływa na pełne morze. Przyznaję, że przez chwilę doznałem uczucia rozpaczy. Czarne chmury dokoła, fale piętrzą się coraz wyżej, za nami skały nadbrzeżne, i tak niegościnne miasto Mogador, a przed nami na tle wzburzonego morza i błyskawic jeszcze dalekich, statek nasz biały coraz dalej i dalej. Mój pułkownik nie wesoły! Wyjmuje chustkę z kieszeni, przywiązuje na lasce i rozpaczliwie nią wywija. Ale sternik nasz, olbrzymi Arab, który od godziny z niesłychaną zręcznością rzuca naszą barkę na fale, które, zdaje się, tuż, tuż ją pochłoną, podnosi rękę spokojnie i mówi: *Sois tranquil, éscalier pas léve, attendra.* Jakoż po upłynięciu może kilometra statek stanął.

Jakeśmy się do niego dostali, jak nas po kilku nieudanych próbach porwali marynarze i wciągnęli na drabinę, przemokniętych do nitki, jak nas wszyscy witali, jak unikaliśmy spotkania z kapitanem, który podobno był wściekły, bo okolice Mogadoru, usiane podwodnemi skałami, trzeba więc je było za dnia koniecznie opuścić — opowiadać nie będę. Podobno kapitan chciał nas koniecznie porzucić, ale panie się wstawiły za nami. Jutro cały dzień na oceanie i niestety zapowiada się nie wesoły. Fale kołyszą statkiem niemiłosiernie. Pojutrze przy pomocy Bożej w sam dzień Wielkiejnocy przybędziemy do Orotawy. Dziesięciu z nas, do których i ja należę, wyląduje, by do pół drogi konno, a następnie pieszo dostać się na szczyt Teneryffy, reszta zaś naszego towarzystwa opłynie wyspę i w Las Palmas oczekiwać nas będzie.

Temperatura dnia 23 kwietnia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej + 8, we Lwowie + 5, w Tarnopolu + 4, w Czerniowcach + 2, w Wiedniu + 8, w Salcburgu + 7, w Gracu + 6, w Pradze + 9, w Tryeście + 9, w Abbazyi + 8, w Raguzie + 13, w Budapeszcie + 9, w Berlinie + 6, w Hamburgu + 7, w Monachium + 7, w Zurychu + 6, w Genewie + 6, w Lugano + 7, w Anglii + 9, w Paryżu + 8, w Biarritz + 12, w Nizzy + 12, w północnych Włoszech + 8, we Florencyi + 7, w Rzymie + 9, w Neapolu + 9, w Palermo + 12, w Madrycie + 10, w Sztokholmie + 5, w Petersburgu + 4, w Wilnie + 6, w Warszawie + 6, w Moskwie + 5, w Kijowie + 5, w Odessie + 3, w Serajewie + 3, w Belgradzie + 8, w Bukareszcie + 10, w Sofii + 6, w Konstantynopolu + 8, w Atenach + 10. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 3 R. w poł. + 7 R. Bar. 755. Nieruchomy. Deszcz.

Pewna siebie.

Do teatrzyku na prowincyi przyjeżdża na gościnne występy artystka ze Lwowa.

Dyrektor: Ależ szanowna pani, ta sztuka, w której pani chce dziś wystąpić, nie wypełni całego wieczoru! Nie wiem, co robić!

Artystka: Bądź dyrektor zupełnie spokojny, resztę wieczoru wypełnią oklaski, które mi publiczność będzie walić.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego. Dziś i jutro „Wesoła wdówka". — W sobotę popołudniu „Kopciuszek," wieczorem „Tosca" Pucciniego. Pierwszy gościnny występ Hericli Darclée. — W niedzielę popołudniu „Moralność pani Dulskiej, wieczorem „Wesoła wdówka". — W poniedziałek „Traviata" Verdiego. Drugi i ostatni gościnny występ Hericli Darlée. — We wtorek, we środę i we czwartek „Juliusz Cezar," tragedya w 5 aktach Szekspira. W piątek „Straszny dwór" Moniuszki.

Repertuar teatru krakowskiego. W piątek „Książę Niezłomny" Calderona. W sobotę „Śluby panieńskie" Fredry.—W niedzielę popołudniu „Radcy pana radcy" Bałuckiego, wieczorem „Beatryx Cenci" Słowackiego. — W poniedziałek „Halka" Moniuszki.

Colosseum Hermanów. Od 1 do 15 kwietnia *The 3 Revaloung Eugenes*, obracające się trapezy. *Malia i Mozarabar*, tresowane kruki. *Nini Foscolette*, excentrique française. *Edward i Kunegunda*, wodewil. *Vitograph*, sensacyjne żywe obrazy- — W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 i 8.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Mieliśmy wczoraj dwie premiery — obie uwieńczone wielkiem powodzeniem. W pierwszej przedstawiła się nam znana już od lat kilku w świecie literackim i wysoko ceniona autorka, panna Płażkówna. Dotąd występowała ona jako nowelistka; wczoraj pokusiła się po raz pierwszy o laury autorki dramatycznej i zdobyła je wśród gorących oklasków publiczności, zachwyconej zarówno tematem, który opracowała utalentowana autorka, jak i samem opracowaniem tego tematu. Ramy, które sobie zakreśliła, były bardzo szerokie, droga psychologiczna do przejścia ogromnie długa, a wszystko to należało ująć i zamknąć w jednoaktówce, trwającej najwyżej godzinę. Autorka sztuki tej dokonała z maestryą nieporównaną. Utwór jej nosi tytuł „Siłacz" i przedstawia męża, człowieka ogromnie silnej woli (p. Sosnowski), umiejącego zapanować nad sobą w sposób zdumiewający, a przez to panowanie nad sobą, panować także nad całem swojem otoczeniem. Młoda i piękna jego żona (p. Ordon-Sosnowska), zachwycona tą jego siłą woli, wyszła za niego za mąż, bo jej niesłychanie imponował tym swym niezłomnym charakterem. Przedtem kochała się ona w kim innym, w niejakim Jerzym (p. Rasiński), była już nawet z nim zaręczoną, zerwała jednak, odesłała pierścionek i wyszła za Karola, owego człowieka silnej woli, jakkolwiek nie był wcale pięknym, owszem, raczej nawet brzydkim mężczyzną, i jakkolwiek nie był młodym, bo już był wdowcem i miał słuszną córkę (p. Zielińska). Zakochała się jednak w jego silnej woli i oczarowana tą potęgą jego charakteru, poszła z nim do ołtarza. Ale parę lat pożycia małżeńskiego wzbudziło w niej podejrzenie, że ta jego wielka wola, to może tylko wielki egoizm; zaczyna więc buntować się przeciw jego rozkazom i sztuka się rozpoczyna w chwili, gdy Karol powiedział żonie, aby się ubierała, gdyż pojadą na bal, ona zaś pierwszy raz od ślubu podnosi sztandar buntu i oświadcza, że nie pojedzie na bal. A ponieważ tacy buntujący się zwykli są w pierwszych momentach rewolty przesadzać, a podnieceni swą własną śmiałością, idą dalej, niż pójść zamierzają, przeto pani Wanda wybucha i w swej egzaltacyi wypowiada mężowi całą nienawiść, jaka powoli, stopniowo wytwarzała się w jej sercu ku niemu przez tę parę lat niewoli małżeńskiej. W egzaltacyi idzie dalej, niż iść zapewne zamierzała i paląc wszystkie mosty za sobą, przyznaje się mężowi, że Jerzy wrócił do miasta, w którem oni mieszkają, a z którego był wyjechał po zerwaniu z nią zaręczyn, że ona go dzisiaj widziała, zaprosiła do siebie na wieczór, że on za godzinę zapewne przyjdzie tutaj i że ona ma stałe postanowienie opuścić męża i odtąd żyć z Jerzym.

Od tak drastycznej sytuacyi rozpoczyna się utwór, a kończy się po godzinie tem, że p. Wanda, ubrana w prześliczną suknię balową i zakochana w swym mężu tak, jak w dzień ślubu, jedzie z nim na bal, a Jerzy odchodzi z nosem spuszczonym na kwintę.

Ponieważ autorka potrzebowała usunąć p. Wandę chwilowo ze sceny, żeby jej dać przebrać się w suknię balową, więc wprowadziła jeszcze drugi motyw, dla okazania, czego może dokonać siła woli. Oto dla swojej córki wybrał Karol męża, który się jej całkowicie nie podobał, a nie tego, w którym się ona kocha; tymczasem kilkanaście minut poważnej, a przez autorkę nadzwyczaj misternie zbudowanej rozmowy między ojcem a córką, wystarczyło do tego, żeby panienka przekonała się, że szczęście jej leży w usłuchaniu rozkazu ojca.

Państwo Sosnowscy grali znakomicie tę sztukę, natomiast zupełnie źle grała pna Zielińska i p. Rasiński. Ona nie umiała wydobyć tonów tkliwych, serdecznych, ciepłych, grała bez szczerości, bez przekonania, a w miejscach lirycznych robiła wrażenie zadąsanej złośnicy. Pan Rasiński zaś był ordynarnym, zamiast być wykwintnym i subtelnym, jemu przypada w udziale wypowiedzenie ostatniego wyrazu w sztuce, wyrazem tym jest „komedyant". Autorka chciała w nim wypowiedzieć refleksyę, że przypuszcza, iż wszystkie liryczne akcenta w duszy człowieka silnej woli są komedyą; że może nawet cała ta silna wola jest tylko silnym egoizmem. P. Rasiński nie zrozumiał tego i wyobraził sobie, że obowiązkiem jego jest, wychodząc z domu pp. Karolostwa z nosem spuszczonym na kwintę, powiedzieć panu domu ordynarną impertynencyę. Rzecz prosta, że osiągnął efekt wręcz przeciwny od tego, jaki zamierzała autorka. Ale powątpiewamy bardzo, czy potrafiłby on swoim surowym głosem oddać ten subtelny odcień satyry, jaki w ten wyraz wypadało włożyć.

Młodą autorkę wieńczono gromkiemi oklaskami zarówno za tezę psychologiczną, głęboko obmyślaną, jak i za jej misterne przeprowadzenie w sztuce. Jest to utwór, który dla wykwintnych smakoszów teatralnych przedstawiany przez bardzo subtelnych i wyrobionych artystów będzie zawsze prawdziwą biesiadą artystyczną, to też niezawodną jest rzeczą, że przetłumaczą go na wszystkie języki, i że obiegnie on całą Europę. Osoby władające językiem niemieckim, we wszystkich jego subtelnościach i delikatnych odcieniach powinny się wziąć zaraz do przetłumaczenia tej przedziwnie pięknej bluetki scenicznej, a jesteśmy przekonani, że we Wiedniu, gdzie spotyka się tyle smakoszów literackich i teatralnych zrobi ona furorę.

Operową premierą była baśń muzyczna, przedstawiona w czterech odsłonach, a nosząca tytuł: „Królewicz Jaszczur". Zarówno libretto jak i muzykę tego utworu napisał młody muzyk, p. Bolesław Raczyński, o którego stanowisku w naszym świecie muzycznym pisał wczoraj w naszem piśmie p. Jan Skrzydlewski, wytrawny znawca rzeczy muzycznych, jako sam profesor muzyki i kompozytor.

Treści do swego utworu zaczerpnął autor z bogatej skarbnicy klechd i baśni krakowskiego ludu. Jedna z nich przywiązana jest do ruin zamku tenczyńskiego, a lud krakowski do dziś dnia ją powtarza i w nią wierzy. Oto — kiedyś przed latami, przed wiekami, mieszkał w tym zamczysku Król-Ćwieczek, który poślubił śliczną i młodą cudożonkę. Król ogromnie ją miłował, lecz kiedy w jakiś czas powiła mu syna, król zamiast się ucieszyć, zachmurzył się wielce, bo mu ktoś podszepnął, że śliczna żonka nie była mu wierną, i że nowonarodzony królewicz jest owocem tej niewierności. Nie namyślając się wiele, król Ćwieczek kazał pachołkom zabrać dziecinę i do zamkowej studni rzucić. I tak się stało. Upłynęło dużo lat. Umarł król Ćwieczek i jego śliczna żonka, ale dzieciątko żyło w studni, pokutując za winy swego ojca. Tak przynajmniej twierdziły kobiety, które nieraz, czerpiąc wodę ze studni, słyszały dochodzący ich stamtąd płacz dziecięcia. A nieopodal ruin zamku stała chatka, w której mieszkała wdowa z trzema ślicznemi córkami. I zdarzyło się raz, że kiedy pokutujący w studni królewicz był już dojrzałym młodzieńcem, przyszła najstarsza z córek wdowy, aby naczerpać wody. Spuściła wiadro, napełniła je wodą, ale w żaden sposób wyciągnąć go nie mogła, bo się go coś ciężkiego uczepiło i nie chciało puścić. Próżno przestraszona dziewczyna szarpała wiadrem, nie chciało iść w górę. Nagle z głębi studni dał się słyszeć śpiew:

Dajże mi pierścionek dziewczyno
To ci wiadro puszczę!
Jak mi będziesz ślubowała
Wtedy będziesz wodę brała.

Strwożona Najstarsza puściła wiadro i uciekła do domu. Poszła czerpać wodę Średnia, aliści znowu ktoś trzyma wiadro i tę samą śpiewkę śpiewa. Woda była bardzo potrzebna, ale że Średnia była zaręczoną, więc nie mogła pierścionka rzucić i odeszła z niczem. Przyszła czerpać wodę Najmłodsza. Ta, gdy tylko posłyszała: „Dajże mi pierścionek dziewczyno, to ci wiadro puszczę" — natychmiast zdjęła z palca pierścionek i rzuciła go w wodę — a w tej chwili wiadro leciutko podeszło w górę. Radość była w chacie wielka, aż tu jeszcze tej nocy przyszedł do niej, jako do swojej żonki zaklęty Królewicz Jaszczur. Zrazu się go zlękła, ale kiedy zrzucił z siebie jaszczurczą skórę i stanął przed nią w postaci ślicznego młodzieńca, zaraz mu padła w objęcia. I tak chodził do niej co noc przez kilka miesięcy. Aż przyszedł czas, że trzeba było, aby ją poślubił, bo już ludzie zaczęli się z niej natrząsać, a matka biła ją, że wstyd i hańbę jej i siotrom przynosi. Więc, gdy raz po spędzonej u niej nocy, chciał znowu do studni odchodzić, Najmłodsza rzuciła skórę jaszczurczą do ognia i spaliła, myśląc, że bez skóry nie będzie mógł już do wody wrócić, lecz zostanie na ziemi i poślubi ją. Ale Królewicz nie odpokutował jeszcze całej kary za winy ojca, więc musiał do studni wrócić. Lecz że nie miał skóry jaszczurczej, więc gdy tylko w wodę się rzucił, utonął i od tego czasu nikt go już więcej ani nie widział, ani nie słyszał o nim.

Wziąwszy od ludu baśń, wziął także autor z bogatej skarbnicy pieśniarstwa ludowego wszystkie potrzebne mu do dzieła motywa ludowe. A ponieważ w operze występują tylko chłopi, przeto oczywiście nie mógł tych motywów symfonicznie opracowywać, bo by tak opracowane wyglądały dziwnie w ustach chłopskich i robiły poniekąd wrażenie karykatury. Podał je więc *in crudo*, a tylko całą inwencyę swoją wyłożył na akompaniament nieraz bardzo misternie zrobiony i na przygotowywania scen muzycznem opowiadaniem orkiestry, w czem wielki okazał talent. Całość robi wrażenie bezpretensyonalnego, ale poetycznego pomysłu, bardzo sympatycznego dla ucha polskiego i prawdopodobnie będzie się doskonale nadawała do przedstawień ludowych, jeżeli notabene udowodnioną zostanie rzeczą, że lud lubi przedstawienia, w których on sam jest bohaterem.

Autora gorąco oklaskiwano. Nie ukazał się jednak na scenie.

Dla uzupełnienia wczorajszego wieczoru wystawiono jeszcze żart sceniczny Gastona Cronier p. t. „Wielbiciel muzyki". Czytelnicy nasi znają go, gdyż nowelę, z której go na scenę przerobiono drukowaliśmy w naszem piśmie. Polega on na następującym pomyśle: Do domu majętnego kompozytora pana Robillet przychodzi jakiś elegancko ubrany pan, przedstawia się jako potomek starej arystokratycznej rodziny, powiada, że od niedawna jest sąsiadem Robilleta, którego przecudna gra na fortepianie i na skrzypcach, ujęła go tak serdecznie, iż pragnie z nim zawrzeć znajomość. Ujęty pochlebstwami kompozytor zwierza się przed przybyszem, jak cenne przedmioty posiada w swojem mieszkaniu, ile tysięcy zapłacił za ten obraz, ile za ów zegar-antyk, a ile za niezwykle cenne skrzypce; w końcu siada do fortepianu i gra najnowszą swoją kompozycyę. Przybysz wzrusza się niezwykle i wybucha płaczem. Robillet wypytuje go o przyczyny tak nagłego wzruszenia. A on opowiada mu dość długą, ogromnie tragiczną historyę swego życia. Znał dwie siostry. W jednej się kochał, druga kochała się w nim. Ożenił się z tą, w której się kochał; a zazdrośna jej siostra otruła mu żonę. Chciał ją oddać w ręce sprawiedliwości; ale ona sama odebrała sobie życie. Tajemnicę zgonu obydwóch sióstr znał tylko on sam. Lecz lekarz ich domowy odkrył, że obydwie siostry zginęły otrute i, sądząc, że to on je zgładził, ażeby po nich zagarnąć majątek, grozi mu doniesieniem do sądu. Nieszczęśliwy, nie mając innego wyjścia, podstępnie zabija lekarza.

Odtąd widmo zbrodni go męczy. Każdego, ktoby o tej tajemnicy wiedział, gotów jest zabić. W tej chwili opowiadający uświadamia sobie, że teraz już Robillet zna tę tajemnicę, więc chce go zabić. Robillet, który już w trakcie opowiadania zoryentował się, że ma do czynienia z obłąkanym, w niesłychanem przerażeniu woła o pomoc. Na krzyk jego nadbiega lekarz z dwoma służącymi szpitalnymi, którzy starają się ująć obłąkanego. Waryat jednak stawia energiczny opór. Wtedy lekarz tłómaczy Robilletowi, że to jego obecność tak drażni obłąkanego i prosi go, aby się gdzieś ukrył. Robillet chętnie czyni zadość temu życzeniu, i udaje się do przyległego gabinetu, do którego prowadzą ukryte drzwi. A lekarz zamyka go tam na klucz i wraz z rzekomym obłąkanym i dozorcami zabiera się do dzieła. Wynoszą oni wszystko, co jest w mieszkaniu cennego; okradają kompozytora ze wszystkiego. A on biedak zamknięty w gabinecie sądzi, że to waryat tak hałasuje, opierając się dozorcom. — Rzecz tę grano wczoraj dość dobrze, choć nieco przesadnie, bo np. złodzieje najniepotrzebniej wynosili z mieszkania meble, jak fortepian, biurko itp. podczas gdyby zupełnie wystarczyło, gdyby tylko ukradli drogocenne obrazy i antyki.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 23 kwietnia.

(Z.) Nareszcie zdecydował się niemiecki bank państwowy obniżyć swą niesłychanie wysoką stopę procentową, której trzymał się kurczowo od tylu miesięcy. Jak donoszą z Berlina na dzisiejszem posiedzeniu centralnego wydziału tego banku uchwalono zniżyć stopę procentową w Niemczech z 6 na $5^1/_2$%. Wedle ostatniego bilansu tygodniowego rozporządza niemiecki bank państwowy obecnie wolną od podatku rezerwą banknotów w sumie przeszło 100 milionów marek, zaś z początkiem stycznia kursowały w Niemczech opodatkowane banknoty na sumę 572 milionów marek. Obecny stan zapasów złota niemieckiego banku wynosi 931 milionów marek, jest tedy o 366 milionów marek większy, niż był z końcem grudnia.

Zarządzenie to niemieckiego banku państwowego nie wywołało zbyt wielkiego entuzyazmu na targu pieniężnym, a to z tego powodu, że spodziewano się powszechnie, iż bank ten zniży swą stopę o cały procent, na 5%, a tymczasem zniżył on ją tylko o $^1/_2$%. — Sfery giełdowe pocieszają się jednak tem, że to dopiero początek, i że gdy bank angielski zejdzie na 4%, jak się tego spodziewają, i w Niemczech obniżona zostanie stopa eskontu na $4^1/_2$%, tembardziej, że eskont prywatny w Berlinie wynosi dziś wszystkiego $4^1/_4$%.

Także z Amsterdamu nadeszła dziś wiadomość o zniżeniu stopy procentowej w Holandyi z $5^1/_2$ na 5%.

Na tutejszym targu podniosły się akcye bankowe i przemysłowe, z kolejowych zaś spadły Staatsbahny, gdyż ostatnia ich haussa zachęciła wielu spekulantów do sprzedaży tych akcyj celem zrealizowania zysku, osiągniętego z tak znacznej ich zwyżki.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Berlin. W dalszym ciągu dyskusyi wojskowej w parlamencie niemieckim przemawiał socyalny demokrata Bebel i oświadczył, że wątpi, ażeby oszczędności, proponowane przez ministra wojny, były możliwe, chyba, że czas służby zostanie zniżony. Czas, używany na marsze paradne, powinien być obrócony na wyćwiczenie wojenne, przez co zaoszczędzi się bardzo wiele niepotrzebnej pracy. W końcu mówca omawiał złe obchodzenie się z żołnierzami.

W parlamencie przemawiał wczoraj minister wojny Einem i polemizując z wywodami Bebla, zarzucił socyalistom, że starają się żołnierzom zohydzić służbę wojskową.

Berlin. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu pruskiego, w dyskusyi nad etatem skarbu, zabrał głos minister skarbu Rheinbaben i oświadczył między innemi, że niski kurs papierów niemieckich powoduje zupełnie fałszywą ocenę zagranicą sytuacyi finansowej Niemiec. Nastepnie minister omawiał ustawę giełdową i oświadczył, że spekulacya terminowa zbożem, nigdy już nie będzie dopuszczoną.

Melbourne. Przedstawiciel żydowskiej organizacyi terytoryalnej w Londynie wyszukał w południowej części zachodniej Australii obszar miliona akrów, celem ewentualnego założenia żydowskiej kolonii i prosił rząd, aby ten kraj oddał organizacyi na dłuższy przeciąg czasu.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń. Do *Polit. Corr.* donoszą z Petersburga, że przekształcenie gabinetu w kierunku liberalnym uważać należy za rzecz pewną; nastąpi ono już niebawem. Koła monarchiczne żądają rękojmi, iż żywioły radykalne zdala będą trzymane przy rekonstrukcyi gabinetu. Stanowisko Stołypina przedstawia się jako wzmocnione.

Praga. Cesarz zostanie jeszcze przez niedzielę w Pradze i w tym dniu odbędzie przejażdżkę na rzece Mołdawie. Powrót do Wiednia nastąpi prawdopodobnie w poniedziałek rano.

Warszawa. Dzienniki donoszą, że rada ministrów na onegdajszem posiedzeniu zadecydowała ostatecznie o czasowem zużytkowaniu sił i środków uniwersytetu warszawskiego w któremś innem mieście w Rosyi środkowej, gdzie potrzeba otworzyć nowy uniwersytet. Komisyi ministeryalnej złożono petycye 7 miast, ubijających się o założenie w nich uniwersytetu. Miastami temi są: Saratow, Woroneż, Niżny Nowogrod, Samara, Mińsk, Smoleńsk i Witebsk. Podobno najwięcej szans mają Saratow i Woroneż.

Petersburg. O projekcie autonomii Królestwa Polskiego pisze *Ruś*, że zabezpiecza on w zupełności jedność państwową. Z jednej strony autonomia spotka się z nieprzejednanym oporem starego systemu państwowego, z drugiej zaś przedstawicielstwo narodowe rosyjskie będzie usiłowało zaspokoić życzenia Polaków. Jednakowoż niektóre punkty projektu napotkają na silną opozycyę. Do tych punktów zalicza *Ruś* żądanie Polaków brania udziału w ogólnych wydatkach państwowych proporcyonalnie do liczby ludności, nie zaś do stanu jej zamożności. Kwestyą sporną będzie również sprawa językowa i chęć poddania ogólno-państwowych gwarancyj wolności obywatelskiej i politycznej osobnym postanowieniom Sejmu polskiego.

Łódź. Wczoraj odbyła się konferencya delegatów robotniczych w sprawie powstrzymania zbrojnych starć między robotnikami. Wzięło w niej udział około 500 delegatów. Uchwalono, że robotnicy nie mają prawa wykluczać innych robotników z fabryki z powodu ich zapatrywań politycznych, lub wyznaniowych; że żaden robotnik nie może być zmuszony przez innych do przyłączenia się do któregoś stronnictwa; że robotnikom nie wolno nosić broni. W każdej fabryce ma być utworzona stała komisya z członków rozmaitych stronnictw celem łagodzenia różnic zdań. Wreszcie konferencya oświadczyła się przeciw zmuszaniu robotników do obchodu święta robotniczego w dniu 1-ego maja.

Paryż. Komitet wykonawczy radykałów i socyalistów uchwalił po burzliwej naradzie wezwać rząd, aby śledztwo przeciw urzędnikom za przystąpienie do syndykatów zawieszono aż do czasu, gdy parlament uchwali ustawę w tej sprawie. Dziś deputacya wręczy prezydentowi ministrów Clémenceau uchwałę tę na piśmie.

Paryż. *Echo de Paris* donosi, że członek zjazdu katolickiego, który obraduje obecnie w mieście Rodez (depart. Aveyron), nazwiskiem Naucier, po skończeniu nabożeństwa strzelił z rewolweru do biskupa miejscowego, ale go nie trafił. Przesłuchani dotychczas przez policyę członkowie zjazdu odmawiają wszelkich wyjaśnień.

Przyjechali dnia 25 kwietnia. P. Czarkowscy z Lubienia. Radzca Chyliński i dr. Iskrzycki z Sanoka. J. Burzyński z Buczacza. K. S. Abgarowicz z Dubienka. Dr. Groyecki z Borysławia. J. Weiser z Sassowa. P. Łobaczewski z Zagórza. M. Ickowicz z Perechińska. Radzca Stryjeński z Krakowa. P. Towarniccy z Borysławia. Dr. S. Zędzianowski z Wadowic. W. Gutowski z Andrychowa.

Przyjechali dnia 25 kwietnia. N. Nadachowski ze Stanisławowa. Z. Krotowski z Podniestrzan. A. Jakubowski i A. Goudius z Wołoczysk. A. Schillerowie z Żółkwi. W. Kerekjarto z Bochni. E. Winiarski z Tenczynka. M. Bilski z Przemyślan. J. Speiser z Tarnópola. H. i Z. Michalikowie z Drohobycza. A. Weiss, M. Erdstein, E. Brod, T. Bieniawski, W. Frommer, A. Brestowski, A. Pollenz i N. Silberbauer z Wiednia. K. Sobotowie z Podhorzec. W. Rakusan z Berna. A. Burösch z Nachodu.

Budapeszt 25 kwietnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 0·00—0·00, na maj 8·—49 850, na październik 8·82—8·83; żyto na kwiecień 0·00—0·00, na maj 0·00—0·00, na październik 7·34—7·35; owies na kwiecień 7·76—7·77, na maj 7·66—7·67, na październik 6·73—6·74; kukurudza na maj 5·63—5·64, na lipiec 5·69—5·70. Rzepak na sierpień 14·00—14·10. — Oferty na pszenicę: mierne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: słabe. — Pogoda: burza.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1906 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8·40***, 5.50*, 8·45, 5.25, 9.80*
Z Rzeszowa: 10.85.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7,20, 11.45, **2.20**, 5.50, 10.80*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: **2.05**, 7.00, 11.35, 5.25, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12.20***, **1.40**, 6.10, 5.45 9.05*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.87.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 8.55.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **8.25**, **12.45***, **2.45**, 4.05*, 8.85, 6.85*, 11.00,
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.55, **2.21**, 6.15*, 9.50*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: **2.36**, 6.85, 11.15, 6.37* 10.08*.
Do Czerniowiec. **2.51**, **2.40**, 6·15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.80*.
Do Rawy i Sokala: 7·25.
Do Jaworowa: 6.55, 6.00*.
Do Sambora: 8.55, 4.15, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.80.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05*.
Do Ławocznego: 7.80, 2.80, 6.25*.
Do Bełzca: 10.45.
Do Stanisławowa, Czortkowa. Husiatyna: 9.10*.
Do Janowa 8.14.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

28)

KOBIETA ZASAD.

(Z angielskiego).

(Ciąg dalszy).

— Oto kraj! — szepnął. — Obwodzi świątynie murem na 60 stóp wysokim, a na dole zostawia otwór, przez który cała armia dostać się może do środka! Naudałka pewno wisi tu na jakim krzaku, albo hinduski dzieciak nosi ją na kijku.

Skoczył w dół, znajdujący się zaraz pod murem, i spostrzegł, że się dostał do starego grobu, zburzonego i zniszczonego, zapełnionego złomami marmuru, gdzie u stóp strzaskanych kolumn leżały ich kapitele. Żmija przemknęła się z głuchem syknięciem, i Tarwin uznał, iż roztropność nakazuje zatrzymać się do ranka ze spełnieniem swoich zamiarów.

Tymczasem usiadł w niszy suchej i bezpiecznej, wyjął z kieszeni zapasy żywności i posilać się zaczął z wielkim apetytem.

Noc podnosiła zwolna przejrzystą zasłonę, z pod której niezbyt jasno jeszcze występowały nieokreślone, dziwaczne kontury olbrzymiego budynku. W dali rysowały się podobnych kształtów mury kamienne, jak senne widziadła, zarysy świątyni, pałaców i domów... A w liściach roślin drżało już tchnienie poranka, stłumione i nadziei pełne.

Zorza coraz mocniej rumieniła się na wschodzie, i nagle martwe miasto wypłynęło z cienia: na ognistem niebie krwawą jaśniały purpurą wieże, dachy, kopuły i gmachy olbrzymie, przerażając okropną pustką. Wiatr z głośnym świstem pędził przez puste ulice i kurz z nich zmiatał, niosąc go przed sobą, jak chmurę, coraz ciemniejszą i wyższą, która stała się w końcu podobną do trąby, i nagle z suchym trzaskiem opadła na ziemię.

Jaszczurka wygrzewała się na słońcu, rozciągnięta na marmurowej płycie, rzuconej wśród suchej trawy. Czerwoność wschodu przygasała zwolna, miejsce jej zastępował blask złocisty, ciepły, który rozlewał się wkoło szeroko. Kania unosiła się w górze, w błękicie. Dzień nastąpił. Dzień stary, — stary, jak to miasto martwe: zdawało się, że oboje patrzyli na wieki, płynące tędy pod skrzydłami wiatru.

Paw ukazał się w progu wysokiego domu i na widok wspaniałości gwiazdy dziennej roztoczył swój przepyszny wachlarz. Tarwin z powagą zdjął przed nim kapelusz i pozdrowił ukłonem królewskiego ptaka, który błyszczał, jak klejnot drogocenny na tle starego, rzeźbionego muru. Może to była jedyna żyjąca istota w tym kraju zaczarowanym, fantastycznym...

Przerażająca cisza tej pustyni dziwnym ciężarem przygniotła Tarwina, nie śmiał zagwizdać swojej zwykłej piosnki i błąkał się bez celu, ogłuszony, niezdolny do trzeźwego sądu, w milczeniu przypatrując się wysokim olbrzymom zbiornikom wody, murom zębatym, zburzonym galeryom i portykom, zrujnowanym arkadom i koronkowej wieży, ozdobionej wypukłorzeźbą starożytną, 150 stóp wysokiej, która stała jeszcze prosto, jak protest przeciw niegodnemu opuszczeniu starego Gunnauru.

Po chwiejących się schodach Tarwin wszedł na górę, aby stamtąd objąć okiem okolicę. I ujrzał drogę jasną i piaszczystą, wijącą się, jak żmija, i ginącą wreszcie wśród nierówności gruntu; widział jasne pola makowe i winne zarośle i wieś w oddali, przeciętą błyszczącą wstęgą kolei; widział szose i ulice brukowane, pod kamiennemi bramami przechodzące na mglistą równinę, i znikające w dali.

Wtem pomyślał o Fibby, oczekującym niecierpliwie na śniadanie, i natychmiast zeszedł na dół, usiłując przypomnieć sobie, co mówił mu pan Estes o położeniu poszukiwanej świątyni. Szedł teraz szybko, przecinając drogę i płosząc wesoło małpy i wiewiórki, które igrały w cieniu pustych domów. Dalsze budynki były już jedynie stosem kamieni i drobnego gruzu, porosłego wawrzynem i mimozą, przez które wiodły wydeptane ścieżki.

Tarwin nie mógł oswoić wzroku z widokiem ruiny tak zupełnej i skończonej. Nic podobnego nigdy dotychczas nie oglądał: puste świątynie, pałace i domy, walące się pomniki dawnej chwały, ulice, zarosłe dzikimi krzakami, całe miasto, wyludnione przez ucieczkę czy śmierć mieszkańców, całe miasto w przeklętej mocy siedmiu szatanów pustki, odprawiających w niem swoje obrzędy...

I przyjdzie czas — za setki wieków może — gdy miasto całe rozsypie się w proch. Sprawiało mu przyjemność oglądać choć słaby początek tej przyszłości oddalonej.

Ścieżka po skale stawała się ślizką, wyszlifowaną przez tysiące nóg bosych, które stąpały tędy lat — może miliony...

Chcąc zejść, pośliznął się na pierwszym kroku i upadł. Śmiech szyderczy rozległ się natychmiast, przeszedł w dźwięk gardłowy, zgłuszony, i powtórzył się znowu. Nik podniósł się szybko, pragnąc zobaczyć zuchwałego śmiałka, który szydził z jego upadku. Ale dokoła nie było nikogo.

Więc nie troszcząc się więcej o szczegół tak błahy, wrócił do poszukiwań celu swej wyprawy, tajemniczej świątyni, zwanej „Głową Krowy“.

Ścieżka, którą się zsuwał, niby z góry szklanej, zstępowała w głąb lejka, na którego dnie otwór otaczały odwieczne drzewa, pochylając nad nim swoje zielone głowy, jak płaczki nocne nad ciałem zmarłego. W skale widoczne były ślady zgruba ciosanych schodów, startych i zniszczonych przez stopy ludzkie, tędy schodzące przez wieki; w szczelinach pył utworzył coś nakształt cementu, twardego choć kruchego.

Tarwin ostrożnie zsuwał się ze stopnia na stopień, rękoma przytrzymując się za pęki trawy. Grunt z każdym krokiem stawał się bardziej wilgotny, a ściany naturalnego tego zagłębienia były pokryte mchem starym i pleśnią. Po kilku minutach drogi ujrzał wreszcie, co osłaniały drzewa tak troskliwie: była to prosta studnia murowana, której ciemno-błękitna woda zdawała się drzemać pod grubym pokładem pleśni. Gnijące bagno zajmowało przestrzeń dosyć rozległą, nad powierzchnią jego wznosiły się kamienne słupy, będące podstawą dla potwornych postaci bogów. Dokoła studni wiódł ciemny korytarz, osłoniony splątaną gęstą roślinnością, która nie dopuszczała promieni słonecznych, a grunt, letnim upałem tu i ówdzie osuszony, miejscami był wilgotny, błotnisty, oślizgły. W zielonym gąszczu zrywały się ptaki, z drzew i krzaków spadały dojrzałe owoce, a szelest upadku w tej milczącej głębi powtarzało echo dziwne, głuche, tajemnicze.

Śmiech szyderczy, który tak denerwująco raz już wstrząsnął Tarwinem, rozległ się znowu w tej chwili po za nim. Młodzieniec odwrócił się gwałtownie i spostrzegł, iż głos pochodził ze źródła, które regularnymi otworami biło z wielkiej kamiennej głowy krowiej, grubo i ordynarnie ociosanej. Cienkie sznurki wody spadały z monotonnym szmerem w wyłożony kamieniami kanał, staczając się tą drogą do środkowego zbiornika na dnie tej wielkiej stożkowatej dziury. To była „Głowa Krowy“, której szukał.

— W piękne miejsce przysłał mię maharadża! — mruknął — niema co mówić! Ciekawym, co mogę tu zrobić? — prawił do siebie dalej, z tysiącznemi ostrożnościami posuwając się po śliskiem wybrzeżu. — Co prawda, jeśl nie mam wpaść w to błoto, to nie widzę spo sobu postąpienia dalej...

Z kamiennej głowy wyrwał się znów wybuch śmiechu, i woda silniej trysnęła z otworów.

— Będziesz ty cicho, bydlę! — krzyknął Tarwin w gniewie, usiłując zoryentować się pośród ciemności.

Rzucił kilka kamieni na żółtawy kożuch, okrywający błoto, i postąpił naprzód; grunt okazał się dosyć twardy. Postanowił więc obejść studnię dookoła, a szczelina, widocznie niegdyś obmurowana, zdawała mu się drogą najpewniejszą. Wprawdzie czas, wilgoć i korzenie roślin zniszczyły pracę ludzką, zaścielając gruzem dno wilgotne i ciemne, ale świadczyła ona o istniejącem tędy niegdyś przejściu.

Zaraz na wstępie wielka, stara figa rozparła korzenie między kamieniami, a jej gałęzie tworzyły zielone sklepienie, tak nieprzenikliwe dla promieni słońca, że ciemność panowała tu zupełna. Na czaszce krowiej głowy drgała złota plama jakiejś słonecznej strzały, która padła tutaj, duszący zapach piżma napełniał powietrze.

Ciemność, zgnilizna, zaduch były tak odstręczające, że Tarwin mimowolnie podniósł wzrok ku niebu, jakby szukając dla wzroku spoczynku. Wtem na gałęzi spostrzegł pstrą papugę, która wesoło biła jaskrawemi skrzydły. I nigdy jeszcze nie pragnął tak światła i ciepła, błogosławionych promieni słonecznych, które są życiem samem. Był zziębły, przemokły, a wiatr lodowaty z głębi pieczary przenikał go dreszczem śmierci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sprzedaż ofertowa.

W sprawie konkursowej: Ogólnego związku hodowców i handlarzy bydła we Lwowie, uchwalił ogół wierzycieli dnia 12 kwietnia b. r. sprzedać najwięcej ofiarującemu wymienione poniżej wierzytelności do następujących osób:

1) Do Michała Grecka vel Grecul, byłego dzierżawcy dóbr w Storożyńcu na Bukowinie, względnie do tegoż spadkobierców, w kwocie 949 kor. 19 h. zpn.

2) Do Marcelego Bogdanowicza, byłego właściciela dóbr Woziłów ad Potok złoty, w kwocie 2400 kor. zpn.

3) Do Kazimierza Żelewskiego z Cewkowa ad Stary Dzików, względnie do tegoż spadkobierców, w kwocie 32 kor. zpn.

4) Do jawnych wspólników byłej lwowskiej spółki rzeźników pod firmą „Pierwsza spółka hurtownych rzeźników Izaak Schwarz, Józef Złotogórski i spółka“, a to do Izaaka Schwarza, Henocha Schwalbenfelda, Judy Kümmla i spadkobierców Józefa Złotogórskiego, w kwocie 67.652 kor. 48 h. zpn.

5) Do Abrahama Schönfelda, handlarza bydła w Stryju, w kwocie 3301 kor. 95 h. zpn.

6) Do Joela Rosenbauma w Chyrowie i Leona Katza we Lwowie, w kwocie 8276 kor. 27 h. zpn.

7) Do Markusa Bornsteina, negocyanta w Wiedniu, w kwocie 2245 kor. 32 h. zpn.

8) Do Barucha Sternberga i Karola Lutwaka, kupców w Śniatynie, w kwocie 4035 kor. 43 h. zpn.

9) Do Efroima Westreicha, handlarza bydła w Krakowie, w kwocie 598 kor. 12 h. zpn.

10) Do Franciszka Kunza w Kołomyi, w kwocie 3500 kor. zpn.

11) Do Herza Serlsa w Przemyślanach w kwocie 25039 kor. 30 h. zpn.

12) Pretensya ekspozytury Ogólnego Związku w Pradze pod nazwą „Interes komisowy Praga“ do rozmaitych osób, w łącznej kwocie 18.568 kor. 59 h. zpn.

13) Pretensya ekspozytury Ogólnego Związku w Krakowie pod nazwą „Targ Krakowski“ do rozmaitych osób, w kwocie łącznej 32446 kor. 26 h. zpn.

W wykonaniu tej uchwały ogłaszam niniejszem, jako zawiadowca tej masy, ofertową sprzedaż licytacyjną.

Warunki nabycia są następujące: Wierzytelności wymienione mogą być nabyte razem lub poszczególnie. — Przed wniesieniem oferty każdy chcący nabyć może przeglądnąć akty odnośnej sprawy w mojej kancelaryi we Lwowie, plac Maryacki l. 10, II piętro. — Przy wniesieniu oferty należy złożyć 10% wadyum oferowanej sumy. — Uwzględnioną będzie oferta najwyższa, z warunkiem złożenia całej waluty cesyjnej gotówką i naraz. Dokument ustępstwa będzie sporządzony bezpłatnie za zwrotem tylko stempli i należytości rządowej. — Masa konkursowa nie ręczy ani za rzetelność, ani za ściągalność nabytej pretensyi, natomiast w czasie ściągania jej przez nabywcę zobowiązuje się masa konkursowa dostarczyć sądowi do przeglądnięcia w celach dowodowych książek rachunkowych i aktów, jakie posiada, a tyczących się nabytej pretensyi.

Oferty przyjmuję **najpóźniej do dnia 20 maja 1907 r.**, poczem nastąpi rozstrzygnienie ofert i zwrot wadyów.

Dr. Bronisław Michalewski
zawiadowca masy konkursowej.

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.